



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** *Polityka:* Podwyżka cel. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Sekretarka (z Revue Bleue), tłum. M. Siemaszko (Dokończenie). — *Życie społeczne:* Kru-cyaty nowoczesne, p. Adama Nowickiego. — Listy petersburskie p. N. B. — Listy wiedeńskie, p. Stwosza. — Z Niemiec, p. Ładawę. — *Badania naukowe:* Psychologia a technika, p. L. — *Literatura i sztuka:* Czynniki społeczne w literaturze, IV, p. Leona Winlarskiego. — Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), VI. — *Fejleton:* Liberum veto, p. Poła Prawdy. — Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — Tortury w Kulparkowie. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Szanownych abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Odpowiadając przytem na liczne zapytania, donosimy, że obie zapowiedziane przez nas książki: **Encyklopedia dla dzieci** (ilustrowana) i **Psychologia dziecka** znajdują się w druku i wkrótce wyjdą.

### POLITYKA.

#### PODWYŻKA CEL.

Rosya w swej polityce celnej postąpiła o krok naprzód w kierunku ochrony i produkcji przemysłu miejscowego. Od 31 sierpnia podwyższona została o 20% taryfa cel dla wszystkich przedmiotów, sprowadzanych z zagranicy. Podwyżka ta dla niektórych produktów (węgiel, koks, torf), nadpływających do przystani morza Czarnego i Azowskiego, wynosi nawet 40%; wyłącznie zaś z niej są: węgiel, koks i torf, przybywające przez granicę zachodnią i porty bałtyckie, dalej kawa, kakao, korzenie do przypraw, herbata, cukier i inne płody obce. Podniesiona taryfa obowiązywać będzie do 1 lipca 1891 r., gdyż do tego czasu ma być zrewidowany i ponownie opracowany cały system celny w państwie. Kamieniem węgielnym zapowiedzianej i przez kupiectwo oczekiwanej reformy jest właśnie obecna podwyżka. Minister Wysniegradzki usprawiedliwia ją znaczną poprawą kursu rubla, która powiększyła przywóz, a zmniejszyła wywóz. Przywóz Rosyi europejskiej, który jeszcze w r. 1879 (bez szlachetnych kruszców) wynosił 546 milionów rubli, pod wpływem protekcyonizmu w ciągu następnych lat 10 spadł do 332 milionów. Głównymi je-go dostarczycielami są Niemcy w sumie 122,624,000 rs., później Anglia—101,223,000 rs., Austria — 14,878,000 rs., Francja —

13,964,000 rs. itd. W tym też porządku nowa taryfa dotknie wspomniane kraje. Najnieprzyjemniejszą nowiną jest ona dla Niemiec, nie tylko z powodu największego ich uczestnictwa w wywozie towarów do Rosyi, ale także z powodu chwili, w której została ogłoszona, kiedy podwyższenia muru celnego od strony wschodniej wcale tam nie oczekiwano, przeciwnie, spodziewano się raczej jego zniżki.

Podróżujący po Rosyi minister skarbu, twórca tej zmiany, był wszędzie, a zwłaszcza w Niżnim Nowgorodzie (podczas jarmarku), przedmiotem nadzwyczajnych owacyj i zbierał od kupców i przemysłowców słowa najwyższej wdzięczności. Również prasa raska wyraża dość zgodnie swoje zadowolenie lub uznaje konieczność faktu. Według *Mosk. Wiedomosti*, był on nieuniknionym środkiem obrony ekonomicznej. „Podwyższanie się ciągle kursu rubla powodowało jednoczesną obniżkę cel; chociaż bowiem pozostały te same, jednakże przy zamianie rubli papierowych na złoto nie mogły już stanowić przeciwwagi w różnicy cen towarów zagranicznych i krajowych. A im wyżej podnosił się kurs, tem dotkliwsze wyrządzał szkody przemysłowi miejscowemu. Podwyżka o 20% przywraca naruszoną równowagę.“

Zdaniem *Birż. Wiedomosti*, cyfra przywozu zagranicznego wzrastała od kilku miesięcy w sposób bardzo groźny. Wynosiła ona bowiem w lutym r. b. 21¼ miliona rubli, w marcu 24¼, w kwietniu 30, w maju 40¼, a w następnych miesiącach sięgało jeszcze wyżej. Skutkiem tego do ministerium zaczęły zewsząd napływać skargi przemysłowców, wołających o ratunek. Ponieważ zaś komisya, wyznaczona do przejrzenia taryfy, posuwała swe prace zbyt wolno, więc okazała się potrzeba środka tymczasowego. „Bądź co bądź — dodają *Birż. Wiedomosti* — chociażby towary zagraniczne nie staniały u nas, do skarbu państwa zaczęnie wpływać więcej opłat celnych, co znowu wywoła dalszą poprawę waluty, a skutkiem tego nową podwyżkę cel — i tak

dalej.“ Najważniejszym punktem powyższego wywodu jest owo „i tak dalej.“

*Święt*, niepewny co do skutków reformy, radzi dać głos praktyce. „Jest rzeczą ważną — powiada on — aby kupcy ruscy i wszyscy ludzie kompetentni, zainteresowani tą sprawą, wypowiedzieli już teraz swoje zdanie o słabych stronach istniejącej obecnie taryfy celnej.“ Ludzie „kompetentni“ w tej sprawie należą do dwu kategorii: jedni myślą o dobru powszechnem, drudzy o interesie własnym, ich więc zdanie musi być koniecznie rozszczerpiem w dwu tych kierunkach.

Inaczej zapatruje się warszawska *Gazeta losowań*. Wprawdzie dla stanowią wszędzie dźwignię wytwórczości wewnętrznej, w Rosyi wszakże nie są one wystarczające dla wyrugowania konkurencji zagranicznej. Uległa ona dopiero wobec niskiej waluty rublowej, która była jedyną przyczyną rozrostu fabrykacyi, a raczej milionowych fortun szczupłej liczby przedsiębiorców kosztem ogółu. Ponieważ także błędy muszą mieć swoją logikę, przeto konsekwencya systemu opiekuńczego wymaga dalszego brnięcia po tem błocie pod karą opuszczenia sztandaru. Rubel ma jeszcze dość długą drogę do przebycia, zanim stanie na poziomie równości z walutą zagraniczną, każdy zaś jego krok naprzód odbije się uderzeniem w interesy przemysłu wielkiego, który znowu zażąda pomocy i opieki. Jest to — jak widzimy — „i tak dalej“ *Birż. Wiedomosti*, a raczej błędne koło, z którego zapomocą samej taryfy celnej ani wyjść, ani wyskoczyć niepodobna. „Dopóki Rosya — podobnie jak Austria — znajdować się będzie ze swą chwiejną walutą w stanie wyjątkowym — przyznaje jedna z gazet niemieckich — dopóty musi w swoim systemie celnym stosować środki wyjątkowe.“ Ale nie należy się ludzi, że środki te są lekiem trwałym i ostatecznie rozstrzygają niezmiernie powikłaną sprawę interesów państwowych i prywatnych. Muszą one kiedyś ustąpić miejsca podstawie mniej ruchomej i zmiennej, a nade wszystko takiej gospodarce ekonomicznej,



któraby szerzej rozpostarła swą dbałość, niż rozciągają się granice wielkiego kapitału w przemyśle i handlu. Obecna 20-procentowa podwyżka cel tylko jemu przyniesie korzyść, gdyż wydaje nam się wprost najwinnem mniemanie, że ona zniży cenę towarów miejscowych, a tem samem pozwoli w tej korzyści wziąć również udział ogółowi spożywców. Kiedyż to fabrykant, uwolniony od współzawodnictwa, stawał się wspaniałomyślnym i nie wyteżał struny swych zysków? Jeżeli gdzie, to w tej sferze nie trzeba wychodzić po za obręb przypuszczeń i wiary w egoizm. Jest to najpewniejsza metoda ustrzeżenia się omyłek.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Za wiele wody wylało się z rzeki i za wiele dokonała ona zniszczenia, ażeby nie wpływała do dziedziny politycznej. Bo ostatecznie rządy muszą myśleć o złagodzeniu klęski i ratowaniu biedaków, którym powódź wszystko zabrała. Zwłaszcza kłopot ten dotyka Austrię. Cesarz ofiarował na ten cel znaczną zapomogę, za nim poszli również z wysøkimi ofiarami bogacze, Hirsch, Rotschild i inni, wezwano ogół do składek publicznych — słowem rozpoczęła się działalność miłosierdzia, której rząd musi przewodniczyć, ażeby go kiedyś nie spotkały wyrzuty za obojętność.

Klęski przerwały na chwilę walkę Młodoczechów ze Starymi i uciszyły tryumfano-zaczepekny okrzyk pierwszych. Ich przywódca dr. E. Gregr, na sejmiku w Chocniu wygłosił mowę programową, z której *Gazeta polska* podaje ciekawe wyjątki. Według niego żądać trzeba: wskrzeszenia królestwa czeskiego, jako jednostki politycznie samodzielnej, a zatem przywrócenia również mocy wszystkim państwowym prawom czeskim; zupełnego równouprawnienia dwu narodowości, zamieszkujących to królestwo; wreszcie stwierdzenia i uświęcenia tego wszystkiego przez uroczystą koronację cesarza na króla Czech. Zastanawiając się nad układem wiedeńskim, mówca rzekł:

„My pragniemy także zgody, ale takiej, któraby poprzedziła ugodę narodu z monarchią, takiej, któraby wprowadzała istotne równouprawnienie. Do hegemonii nie zdą-

żamy, dzieci sąsiadowi nie wykładamy i nie wychowujemy na narodowych janczarów robotników za to, że po naszymu nie mówią; nie wypędzamy i nie domagamy się niczego prócz równości w obec prawa. Pytają nas, czy ustąpimy od naszych żądań za cenę urzędowości naszego języka? Czyż wolno nam za taką drobnostkę rzec się praw dziedzicznych po praociach? Nie! na lep nie pójdziemy. Przyjdzie czas, kiedy nas prosić będą, abyśmy przyjęli jeszcze więcej, my jednak przyjąć możemy tylko *wszystko*, co się nam należy. Okruszyny zbierać — to rzecz niegodna człowieka, a mianowicie czechal!”

Gregr nie wątpi, że postawione przez niego warunki zgody będą kiedyś spełnione. „Kto wytrwale kołacze — powiada on — temu otworzą. My zaś kołatać będziemy, choćbyśmy mieli okno rozbić.”

Obecny na wiecu komisarz rządowy miał podczas tej mowy kilkakrotnie sposobność przypominania o swej obecności i grożenia przecięciem obrad. Uczynił to zwłaszcza, gdy Gregr wśród oklasków zawołał: „Nas, którzy wszędzie i zawsze przelewaliśmy krew za wielką naszą dynastję, chcę wydać z kraju naszego, uczynić z ojczyzny naszej lenność króla pruskiego; ale my jeszcze żyjemy, a dopóki ostatnia kropla krwi czeskiej nie zastygła, król czeski pruskim wasalem nie będzie.”

Po zdradzie tajemnic bulanżyzmu w *Fi-garze* przez niejakiego Mermeixa, „pięknemu generałowi” wymierzają już ostatnie ciosy nawet jego sojusznicy i przyjaciele. Hrabia Paryża przyznał, że pozostawał z nim w związku kieszeniowym i został sromotnie oszukany, księżna Uzes nazwała go kpm i tehorzem, który wyssał z niej pieniądze itd. Po tej chłoscie i z pod tych kamieni chyba operetkowy bohater nigdy się nie dźwignie, zwłaszcza że już dziś jest — jak twierdzi księżna — „tłusty i stary.” We Francyi wolniej grzyby wyrastają po deszczu, niż pojedynki po każdym otwarciu „kulis” politycznych. Więc też odkrycia Mermeixa wywołały szereg starć honorowych i niehonorowych, gdyż czynne w nich były nie tylko szpady, ale i ręce. Jedni się wypoliczkowali, inni pokłuli, inni zamienili kule — jak zwykle w takich wypadkach. Rochefort, który znowu podrapał swego przeciwnika na obcym gruncie, opisał całą wyprawę pojedynkową w swym dzienniku, wplótłszy w ten opis bezczelną dla siebie reklamę. Jak zapewnia bowiem, cała Holandia i Belgia śledziły jego kroki, żandarmi i reporterzy gonili go jak ogary, nigdzie nie mógł kroku zrobić, żeby nie był pozna-

nym, nigdzie ukryć się, żeby go nie wytropiono. Omylił jednak czujność wszystkich — i bił się.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### KRUCYATY NOWOCZESNE.

Przed kilku dniami biskup tarnowski w Galicyi, ks. Łobos wydał list pasterski przeciw *gazeciarnstwu liberalnemu*. Odtąd więc księża diecezji tarnowskiej są obowiązani występować zawsze i wszędzie przeciwko czasopismom kierunku mniej lub więcej wolnomysłnego, a przytem rozsiewać o nich i o publicystach, biorących udział w tego rodzaju wydawnictwach potwarze nieuzasadnione i niegodne. Kłatwę bowiem, rzucaną z ambony, należy poprzeć dowodami, a ponieważ ich niema, okaże się potrzeba kucia odpowiednich oszczerstw. Równocześnie zaś proboszczowie otrzymali rozkaz, aby tym z owieczek, które wbrew wszelkim nawoływaniom łaknęłyby „drukowanego,” polecać prenumeratę pism zachowawczych, klerykalno-feudalnych. Te dwa potoki spływają tam w jedno, wspólne łożysko.

Mniej więcej w tym samym czasie nadbiegło z Koblency echo podobnej treści. Radzili tam mianowicie katolicy niemieccy nad środkami wzmocnienia swej wiary w Europie i w ojczyźnie. Wśród różnorakich recept pokazuje i poczesne miejsce przeznaczono eks-komunie, rzuconej na dziennikarstwo liberalne. Jeden mówca po drugim głosił konieczność toczenia z niem walki zażartej, konieczność tępienia owych gazet bez litości wszelkimi możliwymi sposobami, a choćby nawet takimi, jakimi ongi duńczycy oczyszczali swe królestwo z wilków.

Mimowoli zatem rodzi się pytanie, czy między obu faktami nie istnieje pokrewieństwo? Otóż każdy znający ogromny wpływ centrum niemieckiego na poznańczyków, którzy znowu zaszczepili zarazek ultramontański w Galicyi, stwierdził bezwzględnie w wypadku niniejszym pewnego rodzaju zaraze moralną. Skutki owej choroby wystąpiły zresztą na jaw już w roku przeszłym, kiedy to galicyanie, a raczej stańczycy na czele kilkuset obalamuconych ludzi podążyli do Wiednia na zjazd katolików austriackich, przeważnie niemców. Czarna międzynarodówka zdołała wówczas zatrzeć

## SEKRETARKA.

(z Revue Bleue).

(Dokończenie).

Jakkolwiek wzniosły i szlachetny charakter cienia nawet pospolitej zazdrości uczuwać jej nie dozwalał, wszakże od porównania tych dwu położeń trudno się było powstrzymać. Taki przepych z jednej, a tak całkowite ogołocenie z drugiej strony! Całe to moralne i materyalne bogactwo, które nieustannie przesuwalo się jej przed oczami, okrutniejsze na nią sprawiało wrażenie, niż prosty opis oddać może. Uczestniczyła niejako w tym przepychu, wszystkie jego szczegóły i subtelności rozumiejąc doskonale, gdy zaś codziennie dom ten opuszczała, nie unosiła zeń ani jednego serdecznego słowa, któreby serce jej wzmocnić mogło, ani jednej wiązki drewek, któraby jej samotność rozgrzała i oświeciła.

Nie w tem zresztą tkła moc jej cierpienia. Zbyt kowna strona życia mało ją obchodziła. Pożądała nie klejnotów, lecz czu-

łego uśmiechu, marzyła daleko częściej o białych bukietach do niej wyłącznie należących, aniżeli o naszyjnikach i brasoletach.

O tem uczuciu, które się stawia na pierwszym miejscu w sercu czyjś, o tej opiekuńczej sile męskiej, bezustannie troszczącej się o ciebie, o tem zaciszu domowym, w którym się ciągle sam na sam przebywa i gdzie w każdym najdrobniejszym szczególe ten słodki wyraz „my” się powtarza — o tem to bezustannie marzyła Klara... Zdawało się jej, że utonąć wzrokiem w twarzy ukochanego jest najszczytniejszym wyrazem uwielbienia i cichutko niekiedy stawiając się w podobnem położeniu, pragnęła tylko dwie te czynności wypełniać: modlić się i wpatrywać w twarz ukochanego męża. Myśl, że jedynie kwestya pieniężna rozdzielała ją z tem szczęściem, do żalu jej dodawała goręć i ogarniała ją oburzenie wobec przekonania, że w jedynej tylko dziedzinie uczuć, któraby uszczęśliwić ją mogła, a której na zawsze musiała pozostać pozbawioną, najpospoliciej o wszystkim stanowił majątek. Nie ludziła się weale przypuszczeniem, ażeby silną namietność obudzić w kimś mogła; wiedziała bowiem, iż ten gwałtowny objaw miłości porównywany bywa do uderzenia piorunu tylko dla cech im wspólnych

i że tak niewielu uśmierca europejczyków, jak elektryczność. Wiedziała też, że jeśli kobieta zdecydowaną bywała niekiedy mężnie stawiać czoło niedostatkom i niepowodzeniom bytu skromnego, mężczyzna, dla którego właśnie do tych ofiar skłonną by się czuła, unicestwiał je w samym ich początku, nie żądając ich wcale. Tak dalece rozum panował nad nimi wszechwładnie, nawet gdy się znajdowali pod wpływem uczucia.

Z innej znów strony widziała nieraz, jak pod wpływem kwestyi pieniężnej gwałtownie wybuchała u mężczyzny namietność tam, gdzie ją nawet trudno było przypuścić uprzednio, gdy jeszcze sprzyjające warunki gruntownie rozpatrzone nie zostały, i zdawało się jej, że raj ziemski jest po prostu hesperyjskim ogrodem — ponieważ złote w nim wyrastają jabłka. Ona więc niegodną była przekroczyć bram jego, odkąd lubianego tam owocu w dłoni swej nie miała.

\* \* \*

Pewnego poranku, gdy już odchodziła, zatrzymała ją Małgorzata.

— Codziennie kreśliłaś pani portret mego narzeczonego, a jeszcze go ani razu nie widziała. Zaczekaj tu z dziesięć minut.



w piersiach przybyszów poczucie plemienne, a zarazem świadomość niebezpieczeństwa, grożącego niechybnie słowianom przy każdym sojuszu z Niemcami, bez względu na to, czy prowadzi ich pastor czy ksiądz ku Watykanowi oczekujący. Dalej zaraza owa wystąpiła ponownie w chwili, gdy biskupi galicyjscy z widoczną szkodą dla kraju podpisali łącznie z biskupami dzielnic niemieckich Austrii, i to na żądanie tych ostatnich, słynny manifest, domagający się uduchownienia szkół ludowych, dotychczas jeszcze świeckich. Trzeci wreszcie objaw zarazy takiej grozi obecnie Galicyi właśnie pod postacią listu pasterskiego ks. Łobosa. Dziwić się przecież trzeba, że ultramontanizm galicyjscy i negalicyjscy tak wrzaskliwie urządzają ową krucyatę nowoczesną bez względu na odmienne warunki, materialne i umysłowe, w jakich Galicya, a Niemcy pozostają, bez względu również na zasadniczą przepaść, dzielącą liberalizm dzienników pierwszej i drugiej. Niemcy są organizmem społecznym silnym, zamożnym, całkowitym, wytrzymałym nie tylko na ciosy zewnętrzne, lecz również zdolnym do znoszenia burz wewnętrznych, do samoodradzania się, do szybkiego zastępowania tkanek zniszczonych świeżymi, a zdrowymi. Galicya, przeciwnie, przypomina drzewko okaleczone, nadłamane, na nieurodzajnej, suchej ziemi rosnące. Wszelkie uszkodzenie umysłowe grozi roślinie takiej niebezpieczeństwem znacznym; lada szarpnięcie, lada brak soków, a wnet nastąpi powolne konanie. Nadto liberalizm posiada w dziennikarstwie tamtejszem przedstawicieli i nie licznych i nader umiarkowanych. Na ośm gazet codziennych dwie zaledwie noszą demokratyczne racze, aniżeli liberalne barwy; trzy należą do obozu klerykalno-feudalnego, a pozostałe skazały się na niekiedy wygodną kastrację, zwaną modnie oportuniżmem. Demokraci galicyjscy nigdy nie rzucali kościółowi rękawicy; czasami tylko występują przeciwko magnackim uroszczeniom dostojników duchownych, przeciwko międzynarodowej propagandzie jezuickiej, ogłupiającej masy, przeciwko oddawaniu wreszcie klasztorów w posiadanie obserwantów-włochów i Niemców, którzy ich majatki niszczą na szkodę kraju.

To też jesteśmy pewni, że zupełnie inne, a nie religijne powody skłoniły księdza biskupa do ogłoszenia częścią szkodliwej, częścią śmiesznej krucjaty. Naprzód chciało z jej pomocą polepszyć zachwiany byt *Czasu i Przeglądu* we Lwowie pod redakcją p. Masłowskiego. Wydawcy tych dzienników liczą na odpadnięcie od gazet libe-

ralnych wszystkich prenumeratorów trwożliwych i połowicznych. Po drugie (tu już ujawnia się wpływ jezuicki) nominacja arcybiskupa gnieźnieńskiego wywoła w prasie galicyjskiej, zwanej liberalną, szereg uwag, których skutku na masy ultramontanie boją się bardzo. Stąd to zabiegi o przecięcie związku między zwolennikami prawdy a ogółem. Po trzecie na koniec rok przyszły przyniesie Austrii ogólne wybory do Rady państwa. Stronnictwo, którego prasa posiada liczniejszą ilość czytelników, z śmiałą miną wystąpi do walki. Pasterz tarnowski chce tedy dla *Czasu* zjednać w swej dycezyi grunt odpowiedni i dla takiego to celu poświęca dobro kraju, gdyż niszczy dopiero w zawiązku będące dziennikarstwo i lekkomyślnie rzuca cień posądzeń niesłusznych na imię ludzi, którzy pracują piórem, słowem umysłowości społeczeństwa galicyjskiego ciężką zadaje szczerbę. A, gdybyż to jeszcze miało się skończyć na dycezyi tarnowskiej! Bynajmniej. Za tydzień, za dwa usłyszymy znowu o podobnym liście innego biskupa galicyjskiego; za miesiąc pojedzie ich śladami trzeci, i tak dalej, aż wreszcie wszyscy staną w bratnim kole, jedną skojarzeni myślą. Przewidywania nasze zresztą nie opierają się na kruchej podstawie; już od lat kilkunastu bowiem księża krakowscy urzędownie i nieurzędownie podburzali i podburzają mieszkańców przeciw każdemu dziennikowi, który stawał do walki z *Czasem*.

Adam Nowicki.

## LISTY PETERSBURSKIE.

27 sierpnia.

Manewry się ukończyły. Wskutek niezdrówia nie mogłem pojechać do Narwy i musiałem oczekiwać jednego ze znajomych, aby mi opisał cały przebieg owej wojny. Okazało się, że nie zrozumieliśmy się; co dla mnie było najbardziej ciekawem i pożądanem, na niego nie uczyniło żadnego wrażenia, więc nie zauważył. Natomiast opisał mi rzeczy jaskrawe i silne: np. wybuchy min, eksplozje mostów, przeprawy wpływ przez rzekę piechoty i konnicy.

— Ależ, mój panie, że mosty rozsypały się w drzazgi, nie dziwnego; siła prochu, dynamitu wiadoma jest.

W każdym razie manewry udały się w smienienie. Projekt był taki: Nieprzyjaciół

przybył morzem, wysadził wojska, przeważnie piechotę i ruszył w głąb kraju. Wojska lądowe, których ilość była mniejsza, korzystając z wszelkiej dogodnej pozycji, zagroziły mu drogę. Każda rzeka, miasteczko, parów fortyfikują się i bronią. Mosty na rzekach, drogi, koleje — jak zwykle — aby utrudnić nieprzyjacielowi pochód, niszczą się.

Manewry tem się różnią od zwykłej wojny, że się zwraca przedewszystkiem uwagę na liczbę żołnierza w każdej danej potyczce, a ponieważ napastujący odrazu przeważał ilością, chodziło o to, czy wszelkie ruchy mas — napastnicze i obroncze — będą zgodne z taktyką; z tego to poglądu manewrom nie mamy do zarzucenia. Już w prawdziwej wojnie częstokroć nie liczba rostrzyga losy boju: bronią się, korzystając z pozycji, może na każdym kroku równoważyć siły sztuką (fortyfikacją).

Z tego, co mi opisał naoczny świadek, przyszedłem do wniosku, że gdy wojska, broniące przystępu do kraju zniszczyły na rzece mosty, gdy oszańcowwały się na swym brzegu, nie łatwo ustąpiłyby nawet przed dwakroć liczniejszym wrogiem. Już historia wojenna uczy, że o ile przeprawa przez góry jest trudną, o tyle przez rzeki łatwą i to jest rzeczą naturalną: góry mają dwa — trzy przejścia, które można uporeczywie bronić; rzeka zaś posiada setki przepraw i ten, kto zamierza przedostać się na brzeg przeciwny, zaczyna próby w dwu, trzech miejscach — a gdy zajmie uwagę broniących, może przejść tam, gdzie się najmniej spodziewano. Czy ów manewr został i pod Narwą wykonany, sprawozdawca nie umie powiedzieć. Nie więcej zauważyli i korespondenci dzienników stołecznych. Nikt też z nich nie zechciał przyłączyć się do jakiegoś pułku, podzielić trudy pochodu; zauważyłby bezwątpienia, że żołnierze nader niechętnie ustępują z pozycji i obocho idą naprzód. Mógłby też zebrać sporo i pojedynczych epizodów, które częstokroć charakteryzują armię lepiej, niż ruchy taktyczne. Taktyka wszędzie jest jednakową, duch zaś armii stanowi jego odrębność.

Pewien stary pułkownik opowiadając mi o rozmaitych wypadkach wojny sewastopolskiej — rzekł:

— A czy wiecie, że znaczną część swej sławy zmarły generał Totleben może zawdzięczać podoficerowi.

— Jakto?

— Skoro się zaczęła wojna min, gdy francuzi chcieli skrycie podkopać się pod nasze wały i wysadzić je w powietrze, a nasi, aby unicestwić ów zamiar, ruszyli przeciwko

Pozostawię podniesioną nieco portyere... zobaczysz go wchodzącego...

Nie chciało go jej nawet przedstawić. Klara przyczynę tego zrozumiała i spoglądając na listy, rozrzucone po biurku, uśmiechnęła się ironicznie. Wahająca się, niezadowolona, ciekawością wszakże zdjeta, w miejscu zatrzymana, stała tak chwilę, gdy nagle ręka usługowego lokaja otworzyła i zamknęła drzwi wielkiego salonu, do którego wszedł szczupły i wytworny młodzieniec.

Oczami przebiegając salon i po raz pierwszy nie znajdując w nim ojca narzeczonej:

— Sama! — przemówił tonem zachwytu i w tej chwili z szybkością pragnącego korzystać ze sposobności, obie ręczki narzeczonej ujął, pocałunkami je osypał, gdy tymczasem młoda dziewczyna pełnym przeobrażeniem gestem otwarte drzwi wskazywała.

— Ojciec tam? — zapytał szeptem.

A gdy ona przeczącą wstrząsnęła głową, po wiele i wiele razy ten objaw uczuć swych powtórzył.

Baron zbyt młodym był jeszcze, jakkolwiek zrujnowanym dostatecznie, ażeby małżeństwo poczytywać mógł jako chloroform niezbędny przy amputowaniu — więc też

ośniewająca świeżość cery i przesłizne oczy narzeczonej uczyniły zeń zdecydowanego kochanka, o jakich wspominaliśmy już przedtem. Zresztą, uczuwamy zwykle pewną wdzięczność, gdy rączka, przynosząca nam wybawienie, jest białą i miękką i kiedy z przyjemnością ucałować ją możemy — nieprawdaż? To też młody człowiek zadanie to spełniał z zapałem, a Klara zemknęła.

Nazajutrz za przybyciem znalazła Małgorzatę wzburzoną i zaniepokojoną.

Szło o coś całkiem od zwykłych zatrudnień odmiennego. Baron wyjechał właśnie wczoraj wieczorem i trzeba mu było przesłać odpowiedź na bilecik dziś z rana otrzymany. Więc gdy Klara powstała od biurka, podając jej pióro, Małgorzata krzyknęła:

— Ależ nie... pisz pani sama... jak zwykle...

Było coś nadzwyczajnego w tej korespondencji narzeczonych, przez trzecią osobę prowadzonej. Klara stanowczo nie chciała spełnić zadania... Panna D. zaś, która w tym względzie znała się wybornie i która niejednokrotnie już dzisiaj poranku wykonywała próby listowe, nalegała, płakała trochę, odwoływała się do przekonania ojcowskich, tonem rozpieszzonego dziecka powtarzając:

— Cóż pani chcesz, żebym ja napisała do tego pana?

— A ja? — zapytywała Klara.

— Dla pani to jakby zadanie stylowe!.. Przedstaw sobie tytuł: list do narzeczonego!.. No, cóżbyś pani mu powiedziała?..

Coby mu powiedziała? Wiedziała o tem dobrze! I pokusa, być może upodobanie w sytuacji skłoniło ją do ustępstwa.

\* \* \*

Nieobecność, zrazu mająca trwać tylko przez tydzień, przeciągała się znacznie i z zamku, którego odnowieniem młody baron zajmował się osobicie, z dniem każdym coraz dłuższe przybywały listy. Lubił te odpowiedzi, krótkie najczęściej, w których jednak niepochwytą subtelność umysłu odczuwać się dawała powoli; coraz różnorodniejszych dotykał przedmiotów, zachwycony tym oryginalnym a wdzięcznym umysłem kobiety, umiejacej trafnie zrozumieć go z oddali i tak ślicznie przesyłającej mu odpowiedzi. Z uczuciem szczęścia naprzód już badał upodobania i gusta przyszłej towarzyszki, dostrzegał w nich wielkie podobieństwo z własnymi, zarówno jak i ten odcień melancholijny nieco, który mu się niezmiernie podobał, jako objaw bez-



wrogom kontrminami, skoro zawiązała się najstraszniejsza z walk — walka podziemna, gdzie najmężniejszy człowiek drży i tylko wówczas odetchnie, kiedy wyjdzie na świat i usłyszy nad swą głową muzykę bomb i kartaczów, pod ziemią bowiem, gdzie w każdej chwili może nastąpić wybuch i pogrzebać pracujących — co może zrobić najmężniejszy? Owóż znalazł się u nas żołnierz, który zakochał się w minach, dnie i noce rad w nich przesiadywał i doszedł do takiej doskonałości, że nigdy nie dał się podejść nieprzyjacielowi. Trzeba wiedzieć, że w tej ślepej wojnie najwięcej znaczy słuch. Kto pierwszy zauważy cichy szelest pracujących pod ziemią, ten się staje panem pozycyi: zakłada minę, zapelnia swój loch workami napelnionymi ziemią, podpala lont i niszczy pracę nieprzyjaciela...

Otóż wspomniany żołnierz — kret podobno słyszał nawet, jak trawa rośnie, a z czasem stał się prawie jasnovidzącym, gdyż przewidywał zamiary nieprzyjaciół. Kto mniema, że jest to legenda, niech przeczyta historię oblężenia Sewastopola napisaną przez Orde; juźci tam nie tak jaskrawie przedstawiony ów kret, lecz dosyć jasno, by sądzić, jaki słuch, jakie nerwy i jakie uczucia posiadał ten dziwny człowiek. Ile on ważył w tej słynnej wojnie podziemnej — czy taktyka może ocenić?..

Stołeczni politycy doszli do przekonania, że bytność cesarza Wilhelma w Narwie nie miała na celu żadnych zagadnień politycznych, jeno była zwykłą sąsiedzką grzecznością. Najjaśniejszy pan otrzymał od swego dostojnego gościa ładny powozik i wzamian podarował mu trójkę rumaków. W ostatnim dniu manewrów cesarz Wilhelm przyjął także udział jako dowódca pułku swojego imienia.

Warszawski korespondent gazety *Nowoje Wremia*, mówiąc o wyborze prezesa komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, wzmiankuje, że ta instytucja ma przede wszystkim na celu ochronę dużych majątków od drobnienia na części i jakoby dochodzi w tym względzie do przesady: przekłada bowiem sprzedaż majątków cudzoziemcom nad parcelację ich i ustąpienie włościanom. Chyba to nie jest prawdą? Prosiłbym oznajomionych z tą sprawą — zaprzeczyć... \*).

Jeszcze pytanie: Do projektującego się ogólnego zjazdu słowian austriackich po-

\*) Towarzystwo kred. ziem. prowadzi tylko politykę wyrozumiałego wierzyciela. Cudzoziemców nie popiera, bo mu na to nie pozwala nawet prawo, co jest zastrzeżone przy każdym jego ogłoszeniu o licytacji. *Red.*

wiednego, trwożnego wzruszenia. Pewnego razu pisał do niej:

„Cudowne nosisz imię — wspólne kobietom, perłom i kwiatom, których przymioty i wdzięki całkiem wcieliły się w tobie... Imię to podczas długich, chmurnych poranków, spędzanych nad rachunkami dzierżawców, używa mi ciepłiwosci! Wprost naprzeciw mnie u okna znajduje się piękny kłab stokroci i kiedy cała ta obrzydła monotonia umów dzierżawców zanadto mię męczy, ku kwiatom tym zwracam oczy i do nich cichutko mówię: „Dzień dobry, małe stokrotki \*), czyste jesteście, białe jesteście i pełno w was wdzięku, jak u dziewczęcia, które kocham, a w błyskach waszych srodeczków dostrzegam złoto jej włosów.“ Poczem zdobywam się na odwagę, kończę następny artykuł kontraktu i znowu gawędę moją rozpoczynam z miłutkimi siostrami twojemi!..“

W liście następnym, pośród licznych wiadomości, odnoszących się do stosunków rodzinnych, wyczytał ustęp:

„Dzięki za wszystkie słiczne rzeczy, które cię natchnęło biedne imię moje. Podkreślałam je w kalendarzu, jak podkreślają

lacy jakoby nie chcą należeć... Przecie i to nieprawda.

Czyżby wodzowie galicyjscy chcieli pozostać sami odosobnieni od wszystkich braci.. W czym by pokładali nadzieję? — W herbach — to za mało. A może przekładają przyjaźń Niemców? — Jest to worek na którym łatwo kark skrócić i stracić pamięć do takiego stopnia, że nawet można zapomnieć ojczystej mowy.

Czyż nawet i dymisya hr. Tarnowskiego niczego nie uczy owych światłych przewodników?

N. B.

## LISTY WIEDEŃSKIE.

30 sierpnia.

Zjazd niemieckich Towarzystw śpiewackich.

Mury stolicy naddunajskiej trzęsły się w tych dniach od śpiewu. Przeszło cztery tysiące teutonów zjechało się do Wiednia ze wszystkich stron świata i huknęło chóralnie nakształt trąb jerychońskich. Zapewne, że zjazd śpiewaków niemieckich miał w gruncie rzeczy pewną cechę zdrowej myśli narodowej, którą obiektywnie uznać można, nad którą inne narody nawet nie bez korzyści zastanowić się mogą: ale naczynym, trzęsącym świadkom uroczystości tej tyle nasuwało się wrażeń przykrych, że z ironią tylko i niechęcią o niej wyrażać się musieli. Mówimy o wiedeńczykach, należących do sfer inteligentniejszych. Co najbardziej raziło u tych „braci niemieckich“, to bezdenne pragnienie, które, sądząc po ich fizyognomiach, trwale u nich istnieje. W pierwszy dzień widziano tych otyłych, rumianych blondynów stojących gromadnie na progach restauracji, krzepiących się niezmierną ilością t. z. „Stehseidlów“; naza-jutrz widziano ich przeważnie w dorożkach: spici, z głowami odkrytymi, senni, spoczywali w ramionach towarzyszków o silniejszych nieco głowach. Na trzeci dzień zaś jeden z nich, wróciwszy późnym wieczorem do domu, otworzył sobie okno i będąc przekonany, że wychodzi drzwiami na ganek, wyszedł sobie w powietrze i spadł na podwórze, gdzie pozostał bez życia. Mało spotkałeś inteligencji wśród przybyszów, byli to przeważnie rzemieślnicy i drobni przemysłowcy. Produkcye złączonych Towarzystw śpiewackich w wielkiej „Sängerhalle“, wybudowanej na Praterze umyślnie

dla członków zjazdu, artystycznej wartości nie miały; odmówiła im jej cała krytyka wiedeńska z Hanslickiem na czele. Wielkich kompozycji chóralnych z akompaniamentem orkiestralnym, jak np. Wagnera „Uczta miłosna“ lub „Rinaldino“ Brahmsa goście wykonywać nie mogli, gdyż własnej orkiestry nie posiadali a na próby z wiedeńską orkiestrą nie starczyło. Natomiast zjazd śpiewaków sprawił wiedeńczykom widowisko i zabawę, a dał powód do demonstracyi. W wielkiej „Sängerhalle“ już na parę tygodni przed zjazdem odbywały się „zabawy ludowe“ na wielką skalę, występowali tam atleci i karły, pokazywano sztuki kuglarzkie i tresowane zwierzęta. Wzorzystą cechę nadano pochodowi legionów śpiewackich w pierwszy dzień zjazdu. Przed ratuszem suto udekorowanym ustawiono 13,000 osób w szeregi, przerwane olbrzymiemi rydwanami. Był to widok istotnie malowniczy: sam ratusz, na którego stopniach, balkonach i wieżyczkach ugrupowały się setki wiedeńskich, purpurowy namiot burmistrza i trybuna, napelnione strojną publicznością, a przed niemi zwolna kroczący pochód śpiewaków, przebranych w większej części w średniowieczne lub ludowe kostiumy Towarzystw. Z udekorowanych artystycznie powozów najokazalszym był „Germania“, następnie „Vindobona“; w obu zwracały na się uwagi piękne wiedeńskie, wyobrażające postacie alegoryczne. Malowniczą była też grupa germanów; byli to członkowie wiedeńskiego klubu atletów, w kostiumach starożytnych germanów, o obnażonych plecach i ramionach, obwieszeni skórą niedźwiedzia, z rogami lub skrzydłami na głowach. Za konną tą grupą kroczyli sinobrodzi druidzi i minstrele średniowieczni.

Polityczna strona zjazdu miała niedwuznaczną cechę pangermańską. Wiedeń usiłował dowiedzieć, że jest jeszcze miastem niemieckim, a przemowa burmistrza Prixa, powołująca się na łączność plemienną, przekraczającą linie graniczne państw, przyjęta została burzą oklasków. „Łączność plemienna — mówił Prix — jest faktem naturalnym, niedającym się zaprzeczyć. Jest to fakt tak prawdziwy, jak ten, że dzieci, wnuki i prawnuki należą do jednej rodziny.“ Jedności plemiennej nie rozrywa ani czas, ani miejsce. W tem znaczeniu, Niemcy austriaccy połączeni są z Niemcami w wielkiem państwie niemieckim, a ci z nami.“

Trudno brać Niemcom austriackim za złe zaznaczenie swego łączności jednoplemiennej z ludnością pod innym żyjącą berłem. Ale warto zauważyć, że manifestacya ta

zazwyczaj imiona świętych, uroczyste obchodzonych; nie wiem tylko, dlaczego lubisz je porównywać z kwiatami — tak szybko więdną one, parę płatków, które uschną lub będą zerwane — oto wszystko.. Wyobraź sobie, że widzisz kilkanaście listków białych, nikiących w powietrzu, a z nimi szczęście twoje znikające w przestworzu, czy lubiłbyś w takim razie nazywać mnie Margeritą (stokrotką)?..“

Zaniepokoił go smutny ton listu i z żywym niepokojem o przyczynę jego zapytywał narzeczoną, lecz ona odpowiedziała mu wesoło i korespondencya toczyła się dalej ku jego zwiększającej się radości.

Co do Klary, ta całkiem się oddała korespondencyi, porwana, sama nie wiedząc o tem, dziwnym czarem tego uczucia bez nazwy, które łączyło ją z nieznajomym.

Używała tedy rozkoszy, czystej, subtelnej, czując się zrozumianą i należycie ocenioną przez człowieka inteligentnego i rozumnego, którego czułość i wyznania miłosne, jakkolwiek nie ku niej bezpośrednio zwracane, niemniej przecież pieściły ucho jak najśłodsza melodia.

Rzuciła się więc z zachwytem w tę rozmowę z oddali, w której całe bogactwo form listowych rozwinać usiłowała; styl zaś

jej tak nawskróś kobiecy, tak pełen zalotności w wyborze słów, podobnym się stał do stylu przodków naszych, którzy tylko dla przyjemności pisanego kreslili owe przesłane bileciki w XVIII stuleciu, a których sztuki my już dzisiaj nie posiadamy weale.

Wszystko przyczyniać się zdawało ku zwiększeniu uroku tej szczególnej sytuacji; nawet mętne wspomnienia owych listów raz tylko przeczytanych, których wyrażenia i zwroty usiłowała sobie przypomnieć w malutkim pokoiku swoim, dzięki właśnie tej niepewności odtwarzały się w jej umyśle piękniejsze i doskonalsze, niż były istotnie.

Żyjąc wyłącznie teraźniejszością, zaprzestała rachować dnie, „te płatki białe“ — jak je nazywała niegdyś, które czas jeden po drugim z serca jej wydzierać się zdawało. Nie myślała przecież o tem, że wszystko skończyć się musi prędko i bezpowrotnie.

\* \* \*

Pewnego poranku, wchodząc do małego gabinetu, mieszącego teraz w sobie cały świat jej marzeń, znalazła w nim pannę D. ubraną jak do wyjścia, spieszącą się, która zaledwie miała czas wymówić:

\*) *Stokrotka* po francusku *marguerite* — Małgorzata.



wskutek obecności członków domu panującego otrzymała poniekąd sankcję rządową, że te wybuchy pangermańskie odbyły się pod okiem tegoż samego rządu.

Stwosz.

## Z NIEMIEC.

6 września.

Proces aktorki z recenzentem.

Gorszący wypadek zajmuje obecnie żywo szerokie koła publiczności niemieckiej. Aktorka, z którą król krytyków berlińskich, Paweł Lindau, przez czas pewien utrzymywał stosunek, skompromitowała go ogłoszeniem jego listów. Niektóre przytem pisma wystąpiły z najcięższymi przeciw niemu zarzutami, piętnując postępowanie jego jako dowód zgnilizny, panującej w sferze teatralnej i powiązanych z nią kołach literackich. Przez czas pewien trudno istotnie było zorientować się w tej sprawie. Z jednej strony bowiem Lindau pozostaje w ścisłych stosunkach z wybitnymi członkami wszystkich niemal pierwszorzędných pism niemieckich, które milczały; z drugiej — cały materiał, który znany był publiczności, streszczał się w oskarżeniu aktorki i w wyciągach z kilku listów Lindaua, które, bądź co bądź, rzuciły pewien cień na postępowanie jego, lecz dla ludzi, nieobznajomionych z całym przebiegiem zatargu, nie dawały jeszcze podstawy do wyrokowania. Nie wiedziiano bowiem, jakim było postępowanie owej aktorki, a wiadomo, że jeżeli kobiety wogóle umieją dokuczyć mężczyznom, to aktorki w tej sztuce celują. Im więcej jednak szczegółów, dotyczących sprawy Lindaua, na jaw występuje, tem większem staje się prawdopodobieństwo, że pokrzywdzoną została kobieta o większej wartości umysłowej i moralnej przez człowieka nieprzebiegającego w środkach.

Paweł Lindau słynie jako powieściopisarz i dramaturg. W Berlinie zdobył sobie wpływ przemożny na sfery teatralne jako recenzent dziennika *Berliner Tagblatt*, na dziennikarskie zaś — jako adjutant publicystyczny Bismarka i syna jego Herberta. W rzędzie artystek, ubiegających się o protekcyę wpływowego krytyka, zjawiała się p. Elza Szabelska, kobieta niezwyklej urody i inteligencji, zaangażowana do Residenztheatru. Lindauowi, któremu niedawno żona uciekła, artystka ta podobała się o tyle, że zawiązał z nią stosunek miłosny. Znalazł w niej nie tylko kochankę, lecz i współpracowniczkę. Do niedawna okry-

wała to tajemnica, że Lindau był dramaturgiem berlińskiego „Deutsches Theater“; co zdradziły listy ogłoszone przez p. Szabelską. Z listów tych dowiedziano się bowiem, że Lindau, zamiast przeglądać osobiście dramaty powierzone mu do oceny, przysyłał je pannie Szabelskiej, która, przejrzawszy, dostarczała mu krótkich sprawozdań. Z nich dowiadywał się on o treści sztuk podanych do dyrekcji teatralnej, i według sądu p. Szabelskiej polecał wystawienie ich lub odradzał. Sam fakt, iż Lindau dzielił pracę zmusną z kobietą, której inteligencji ufał, mniej godnym jest potępienia, aniżeli cyniczny sposób, w jaki manipulację tę traktował w listach pisanych do przyjaciółki. Bądź co bądź, rozwój literatury dramatycznej po części od niego zależał; wiadomo zaś, że za rządów Lindaua na pierwszej scenie berlińskiej nie pojawiła się ani jedna sztuka nowego autora; przepuszczał on tylko utwory firm znanych, których przestudyowanie nie sprawiało mu kłopotu. Panna Szabelska odznacza się znać istotnym talentem, gdyż pomagała mu dzielnie przy układzie i wypracowaniu ostatniej sztuki „Schatten“, o czem świadczy ogłoszony przez nią telegram. Lindau odwdzięczał się przyjaciółce swej, popierając ją w zawodzie scenicznym. Zdobył dla niej wszystkie pierwszorzędné w utworach swych role, a nowe sztuki lub przekłady odstępował dyrekcji tylko pod warunkiem, że p. Szabelska otrzyma role główne. Kiedy artystce za mało jeszcze było wawrzonów, a Lindau sam w recenzjach bardziej polecał jej już nie mógł, protegował ją za pomocą zaprzyjaźnionych z nim krytyków innych dzienników, Zabla, Kellera, Landaua, Brahma i Wolffa. I tę tajemnicę zdradziła p. Szabelska, kompromitując całą grupę literatów, którzy wzajemne usługi sobie świadczyli.

Stosunek ten trwał zaledwie rok. Lindau zerwał go z przyczyn nieznaných jeszcze publiczności. Być może, że charakter literata i artystki nie zgadzały się z sobą, w każdym razie zaś to pewna, że stosunek ten, stał się jawnym i kompromitował Lindaua na każdy krok. W jednym z listów pisze on do p. Szabelskiej: „Nie chcę, aby zawsze, gdy ona występuje na scenie, spoczywały na mnie spojrzenia z parteru i badały moją minę.“

Postanowił więc pozbyć się niewygodnej aktorki i wziął się do tego w sposób Bismarkowski. Zaządał od niej, aby opuściła Berlin w ciągu dwudziestu czterech, najpóźniej czterdziestu ośmiu godzin. Gdyby zgodziła się na to żądanie, zobowiązał się

rozwiązać bezinteresownie kontrakt, łączący ją ze sceną Barnaya, i postarać się drogą telegraficzną o miejsce dla niej w teatrze frankfurckim, praskim lub lipskim. Nadmieniał w liście, że skuteczności pośrednictwa swego pewnym jest zupełnie, i oto co najbardziej oburzyło publiczność i uciążliwą część prasy: stosunek zawisłości, w jakim pozostają sceny względem krytyka i ławność, z jaką on wpływu tego nadużywa dla wygody swej osobistej. List Lindaua zawierał i groźbę: gdyby p. Szabelska z Berlina się nie wyniosła, wówczas on nie byłby walną na przedstawieniach, w których ona by występowała, a nie pisząc o nich recenzyj, zmusiłby *mimowoli* dyrektora do rozwiązania z nią kontraktu; to samo powtórzyłoby się, gdyby dostała się na inną scenę.

Panna Szabelska nie ustraszyla się tej groźby i walkę podjęła. Doznała potęgi wpływu Lindaua. Musiała ustąpić ze sceny Barnaya, a żadna agentura wystarczyć dla niej nie mogła o miejsce na innej berlińskiej. Wówczas p. Szabelska, pozbawiona środków do życia, pomyślała o swym talencie literackim i żyła z artykułów pisywanych przygodnie. Pragnęła polepszyć byt swój wystawieniem dramatu p. t. „Sławny człowiek.“ Nie trudno odgadnąć, kto był bohaterem tego dramatu. Przyjęto go jako utwór udatny, a podany bezimiennie; lecz ktoś niedyskretny zdradził tajemnicę Lindauowi, który zapobiegł wystawieniu sztuki. Od tej chwili p. Szabelska pozbawioną była źródeł utrzymania, i wówczas to zwróciła się do redakcyi *Volkszeitung* z prośbą o ujęcie się za jej krzywdą i napiętnowanie Lindaua. *Volkszeitung* ogłosiła listy Lindaua, który oddał całą sprawę pod sąd stowarzyszeniu literackiemu „Berliner Presse“, na którego czele stoi Ernest Wichert. Zbadano w tych dniach cały przedstawiony materiał i orzeczono jednogłośnie, że Lindau nie popełnił żadnego kroku niehonorowego lub nagannego. Lecz opinia publiczna potępiła go. Wiadomo było oddawna, w jak ścisłych pozostają stosunkach dyrekcje teatrów z wpływowymi krytykami, i że ci nadużywają wpływu swego dla przyjaciółek. Lecz co głównie budzi powszechnę na Lindaua oburzenie, oto okoliczność, że z dawną kochanką obszedł się nieszlachetnie, że rozwiązując stosunek z nią, zamiast pozostać wiernym jej przyjaciółcem, zaczął ją prześladować. Jako literat sprawa ta Lindaua nie zgubi; lecz jako człowiek stracił on na zawsze prawo do szacunku i sympatyj.

Ladawa.

— Przeczytaj to pani... Masz niesłychane powodzenie!.. Dziękuję ci i do widzenia!.. Należy korzystać z ostatnich dni czterech przed ślubem, nieprawdaz? Zresztą w dniu 4 maja zobaczymy się jeszcze...

Wyszła.

List, pisany charakterem dobrze znanym Klarze, zawierał tylko tych słów kilka:

„Dziękuję Bogu, że się skończyło wreszcie wygnanie moje. Wyjeżdżam, wyjeżdżam natychmiast, aby na zawsze już pozostać przy mej ukochanej, którą kocham dziś stokroć więcej, niż przed odjazdem. Teraz bowiem, gdyś po raz drugi zdobyła moje serce, wyznać muszę, że przedtem znał cię i kochał tylko w połowie!“

Byłaś mi zawsze taką milczącą, strwożoną!.. Któżby w tobie domysleć się mógł tych skarbow dowcipu i wdzięku, które z oddalenia przysyłałaś mi każdego poranku, niby smutnemu więźniowi promyk słoneczny.

Znałem cię tylko niewymownie piękną; że zaś okazałaś mi się taką rozumną, wytworną, złożę ci za to dzięki dziś wieczorem tak gorąco, jak gorącą jest radość moja z tej niespodzianki.“

Niema, wzruszona, Klara czytała, odczytywała te kilka wierszy z takim zmiesz-

niem smutku i radosnej dumy, że uczuć swych nie umiała sama nazwać po imieniu. Ramionami wzruszała na myśl o narzeczonej, która list ten do przeczytania dała, a zarazem gorzko zazdrościła jej tego, co było jej tak istotną, tak prawowitą własnością.

Raz, drugi, dziesiąty odczytała liścik ten nieruchoma i dla wszystkiego, co ją otaczało, obojętna, aż liczna gromada służby nappełniła pokój.

Tu bowiem dzisiejszego wieczoru urządzić miano wystawę darów pana młodego i wyprawy panny młodej, w tym też celu pasowym pluszem okrywano stoły.

Wciąż nieporuszona, o biurko wsparta patrzyła na krzątanie służących, aż jeden z nich w przechodzie potrafiwszy ją zlekka, z uprzejmem przeproszeniem mówił zaczął o pośpiechu i ścisłości, spowodowanym wkrótce nastąpić mającą uroczystością weselną. Skinęła głową i wciąż trzymając papier w zaciśniętych palcach, wyszła, nie rzekłszy słowa.

Gdy znajdowała się już na dziedzińcu, lokaj, który wybiegł za nią, zatrzymał ją i wręczył mały zapieczętowany pakiecik.

— Panienska, wychodząc, rozkazała wręczyć to pannie de Sauluis — objaśnił. Nie

spodziewałem się, że pani tak wczesnie odejdzie.

Podziękowała mu skinieniem głowy i pobiegła tak szybko, że mniej niż w kwadrans była już u siebie.

W kieszeni czuła ciężar rulonu złota, będącego zapłatą za dwa ubiegłe miesiące. Wyjęła go, patrzała nań przez chwilę, wając w dłoni, poczem gwałtownym ruchom ustawiła złoto na środku stołu, zapaliła przy niem dwie świece i sama z uśmiechem szyderstwa i buntu przed tym ołtarzem na kolana upadłszy, cicho mówiła:

— Oześ ci składam, o bożku, który...

Po krótkiej chwili zdjęta wstydem i wyrzutami sumienia, jednym zamachem ręki obaliła tę podobiznę ołtarza i z rozpaczliwym płaczem upadła na łóżko, a gdy głośnie łkanie wstrząsało całym jej ciałem, kwietniowe słońce, zmieszane z drobnym deszczykiem, zraszało i pościelało naprzemian małe okna jej poddasza.

Tłom. M. Siemaszko.



## BADANIA NAUKOWE.

## PSYCHOLOGIA A TECHNIKA.

Niema człowieka myślącego, któremu by nie nasunęły się podobieństwa, zachodzące pomiędzy aparatami technicznymi, pracującymi nieświadomie, a organami ciała ludzkiego, których funkcje maszyna ludzka sobie uświadamia. Podobieństwa te posłużyły w ostatnich latach niektórym uczonym za podstawę do badań poważniejszych, których wyniki dziś już są zdumiewającymi, a nadto otwierają widok na szereg niedocieczonych jeszcze, lecz przystępnych dla umysłu ludzkiego tajemnic. Przed trzynastu laty E. Kapp ogłosił dzieło p. t. „Philosophie der Technik.” Myśl przewodnia jego pracy streszcza się w tem, że wszelkie narzędzia i maszyny pojmować należy jako części i organy człowieka, lub raczej jako zarysy organów ludzkich, które duch ludzki przenosi w świat zewnętrzny. Według Kappa, wynalazki techniki naśladują i kombinują jeno wzory organiczne; plan pierwotny każdej maszyny istnieje w organizmie ludzkim. Siła kształtująca, która wytworzyła człowieka i jego organy, zapomocą ducha jego tworzy maszyny bardziej jeszcze złożone, lecz stanowiące jeno dalsze ogniwa w nieprzerwanym łańcuchu tworów z niej wypływających.

Myśl ta, która w pierwszej chwili wydawać się może mistyczną, nabywa prawdopodobieństwa, skoro przyjrzymy się szeregowi wynalazków technicznych, przypominających organy ciała ludzkiego. Ogólnie znanym jest podobieństwo przyrządu fotograficznego (camera obscura) z okiem ludzkim. Analogię tę upatrywano dawniej jeno w mechanizmie obu aparatów; nowsze badania wykazały atoli, że i skład chemiczny siatkówki odpowiada amalagamowanej płycie przyrządu fotograficznego wrażliwością na światło. A odkąd w obserwatorium paryskim zdjęto widoki gwiazdowego nieba, kamera jest nie tylko narzędziem odbijającym przedmioty widoczne dla oka ludzkiego, lecz stanowi niejako wyższą jego formę rozwojową, gdyż wzbogaca mapy astronomiczne o miliony gwiazd i rozkłada mgły kosmiczne, które dotychczas opierały się największym teleskopom. Fortepian istniał wiek cały, zanim w głębi ucha ludzkiego odkryto t. zw. aparat Costiego, stanowiący fortepian o strunach uwitych z delikatnych włókien nerwowych. Komuż wreszcie nie wpadła w oko analogia, istniejąca między funkcjami nerwów a drutów telegraficznych?

Ciekawe studium z tej samej dziedziny, oparte na myśli przewodniej Kappa, ogłosił niedawno A. Grawein. Zastanawia on się nad fonografem jako podobizną organu ludzkiego — i to najszlachetniejszego i najbardziej złożonego. Fonograf funkcyją swą odpowiada pewnej funkcji mózgu ludzkiego: pamięci. Psychologia fizyologiczna twierdzi, że każde wrażenie pozostawia ślad materialny na substancji mózgowej; że wryte te znaki są podstawą pamięci i że ruch najdrobniejszych tych cząstek mózgowych, pokrytych znaczkami, wywołuje wspomnienie wrażeń niegdyś odebranych. I rzec dziwna: zupełnie tak, jak według hipotezy tej działa mózg, w rzeczywistości pracuje fonograf. Tysiące znaczków drobnych przenosi sztyftik stalowy na miękki walek, który po dziesiątkach lat odtwarza wrażenia odebrane z wiernością prześcigającą pamięć ludzką. Psychologia spirytualistyczna wystąpiła przeciw hipotezie fizyologów z zarzutem, że jest to niemożliwością mechaniczną, aby drobny mózg ludzki mógł objąć tyle znaczków. Obliczono bowiem, że potrzeba trzeciej części sekundy, aby wyobrażenie powstać mogło w mózgu ludzkim. Człowiek pięćdziesięcioletni, chociaż-

by przespał dwie trzecie życia swego, musiałby tedy pomieścić w mózgu swym około 1,577,880,000 znaczków, a każdy gran mózgu nosiłby musiał na sobie 205,542 materialnych śladów wrażeń odebranych. Lecz oto fonograf, złożony z materiałów o tyle grubszych, na kilku calach kwadratowych pomieścić może przeszło 20,000 znaczków skomplikowanych — o ileż przez to wzrasta prawdopodobieństwo hipotezy fizyologów!

Studium Graweina dąży przede wszystkim do wzbogacenia wiadomości naszych psychologicznych za pomocą analogii, zachodzących pomiędzy fonografem a mózgiem. Oto, jak usuwa drugi zarzut, czyniony mechanicznej hipotezie władz pamięciowych. Skoro wrażenia odbierane pozostawiają ślady na naszym mózgu — twierdzą spirytualiści — w takim razie pamięć ludzka powinna być zdolną do reprodukcji i takich wrażeń, które wryły się w wieku dziecięcym nawet, bez woli i uwagi naszej. Wiadomo, że podobna wszechstronność zachodzi w fonografie i nieraz komiczne powoduje wyniki. A skoroby dowieść można, że i pamięć ludzka podobnie okazuje zjawiska, hipoteza fizyologów zyskałaby znacznie na prawdopodobieństwie. Otóż zjawiska takie obserwowano rzadko u ludzi, których mózg funkcjonuje normalnie, lecz często w chorobliwym podnieceniu, jakiemu ulega pamięć we śnie, pod wpływem pewnych chorób mózgowych, a przede wszystkim w sugestji hipnotycznej. Grawein przytacza szereg przykładów znanych już w nauce, lecz niewyzyskanych dotychczas. Taine w dziele swem o *Intelligencji* opowiada, że w domu ambasadora hiszpańskiego w Paryżu odbywały się konferencje polityczne w języku francuskim, przy których służbę kamerdynera pełnił chłopak hiszpański, nierozumiejący ani słowa francuskiego. Po kilku miesiącach chłopak ten spadł z konia i uległ wstrząśnieniu mózgu. W gorączce mówił po francusku, powtarzając dosłownie rozprawy dyplomatów. Maudsley znów znał dwudziestokilkuletnią służącą, która podczas gorączkowej choroby nerwów recytowała długie ustępy w języku łacińskim, greckim i hebrajskim. Okazało się potem, iż pacjentka, będąc dzieckiem dziewięcioletnim, była w domu wujka swego, uczonego duchownego, który zwykł był czytywać głośno.

Dziwniejsze jeszcze objawy występują pod wpływem pewnych środków narkotycznych (haszyszu) lub wobec niebezpieczeństwa śmierci, zaskakującego człowieka nagle. Rzecz by można, że wówczas cały walek mózgowy obraca się w okamgnieniu z niesłychaną szybkością, tak iż przed duchem naszym w jednej chwili zmartwychwstają wszystkie wrażenia, jakie odebrałmy w ciągu życia. Jest to t. z. zgęszczenie wyobrażeń, którem specjalnie zajmował się Fechner. Znanym jest w tej mierze przykład admirała Beanforta, który walcząc z nurtami w ciągu kilku sekund, widział całe swe życie aż do szczegółów najdrobniejszych.

Najbardziej zaś widoczną analogię pomiędzy fonografem, a aparatem pamięciowym człowieka wykazują doświadczenia hipnotyczne. Zapomocą sugestji bowiem wprowadzamy w ruch dowolnie pewne części owych wałków mózgowych i reproduujemy pewne ustępy z przeszłości człowieka, podobnie jak dowolnie nakręcać możemy aparat Edisona.

L.

## LITERATURA I SZTUKA.

## CZYNNIKI SPOŁECZNE W LITERATURZE.

## IV.

Dawniejszą doniosłość różnicom rasowym można przy obecnym stanie badań

przypisywać tylko ze względów praktycznych; głównym czynnikiem w naszych czasach jest tu antisemityzm, pobudzający zgraję nieobrzezanych żydów do nalepiania naukowych etykiet na wytwory ciemnoty i zabobonu. Nie możemy w miejscu tem zastanawiać się nad tą kwestyą z punktu widzenia czysto antropologicznego, tem bardziej, że czytelnicy *Prawdy* znają to ostatnie słowo nauki pod tym względem z dzieła Miecznikowa, o którym niedawno umieszczone było dokładne sprawozdanie. Musimy się wszakże zastanowić nad tem, o ile rasowość objawia się w literaturze i sztuce. Niechaj nam wolno będzie przytoczyć w sprawie tej zdanie jednego z najwybitniejszych działaczy na polu „krytyki naukowej,” Emila Hennequina, wyrażone w znanym jego dziele, *La critique scientifique*.

Gdyby istniały rasy „czyste,” jednorodne, stałe i nieliczne, to, w drodze małżeństw pokrewnych i wspólnego pożycia, mogłoby się ustanowić takie podobieństwo pomiędzy członkami tej grupy, iż właściwości moralne jednego osobnika byłyby też same, co i każdego innego. Wówczas analiza dzieła artystycznego, którego autorem byłby jeden z członków danej „rasy,” pozwalałaby nam wnioskować o składzie duchowym nie tylko autora, ale i wszystkich jego współrodaków. Ale jest to tylko przypuszczenie na niczem nie oparte. Tego rodzaju ras czystych i jednorodnych na świecie niema, a przynajmniej żadna z nich nie stała się narodem, któryby utworzył państwo cywilizowane, wydał literaturę i sztukę.

Antropologia okazuje nam od czasów najdawniejszych proces krzyżowania się i mieszaniasia ras. Historia dowodzi, że niema narodu utworzonego przez jedną rasę. Wszystkie, od egipcyan do asyryjczyków, od żydów do fenicyan, od greków do rzymian, od aryjskich indów do irańczyków, od przedhistorycznych plemion północnoeuropejskich i aż do samych nawet chinczyków — wszystkie, powtarzamy, utworzone zostały przez zwycięskich wychodźców, którzy sami ulegli wpływowi podbitych tubylców i zasymilowanych po drodze elementów etnicznych. Rozbiór czaszek, mumii, szkieletów, pomników ikonograficznych, najstarszych nawet, pokazuje w każdej grupie społecznej, jak daleko tylko sięgnąć można, mnóstwo odrębnych typów somatycznych. Nawet Anglia, którą położenie wyspiarskie powinno było uchronić od najazdów, przedstawia znaczną ilość odrębnych ras. Spencer wylicza je w swej *Descriptive Sociology* sumarycznie: dwa typy etnologiczne bretończyków, różniące się uwłosieniem i formą czaszki; kolonistów rzymskich w liczbie nieznaney; plemiona angiłów, jutów; sasów, kymrysów, duńczyków, norsów, szkotów i piktów i nareszcie normanów, którzy, według Augustyna Thierry'ego, obejmowali kilka elementów etnicznych na całym wschodzie Francji. Wszystko to się po części pokrzyżowało, po części różniczkowało, tak że nawet ten naród (angielski), przedstawiający jeszcze pewne cechy wybitne, zawiera typy najrozmaitsze, południowe obok skandynawskich, ludzi o głowach iberyjskich i mongoloidów. Cała znana nam starożytność daje także same rezultaty. W znaczniejszym jeszcze stopniu można to powiedzieć o „narodach” współczesnych. Ludność Piemontu w zupełności się różni od neapolitańczyków i od zaludnienia innych prowincji włoskich. Prusy z czasów Schleiermachera także mało są podobne do Prus z czasów Bismarka, jak pomeraneczycy do szwabów, a i ci ostatni ileż różnie zawierają pomiędzy sobą. Toż samo powiedzieć można o całych Niemczech. „Co się tyczy Francji — mówi autor — to wiadomo, iż pomiędzy mieszkańcem Marsylii i mieszkańcem Lille'u istnieją różnice oddzielające dwa narody, a przytem ani na południu, ani na północy



ludzie nie są do siebie podobni. Te różnice fizyczne odpowiadają jeszcze głębszym różnicom moralnym, przyczem towarzyszą im olbrzymie zmiany w czasie... Jestto wielki błąd historyczny i polityczny, jeżeli wierzymy w istnienie stałych i powszechnych rysów u narodów, które zawsze i wszędzie były złożone i zmienne. Naród jest zlepkiem różnych ras, z których żadna nie może być rozpatrywana, jako czysta i nie ma nie wspólnego oprócz miejsca zamieszkania i języka potocznego, w którym także można odróżnić jeszcze tysiące składników; to też *gdy pewien naród wydaje literaturę, jestto literatura języka, a nie rasy*.<sup>\*)</sup> Toż samo sztuka każdego narodu tworzą ludzie przybyli z czterech jego końców (gdzie rasy mogą być rozmaite) a oprócz tego i cudzoziemcy, przyciągnięci przez przypadek. Wśród rzymskich pisarzy są greccy, italczyccy, kartagińczycy, hiszpanie, francuska sztuka współczesna zawiera włochów, belgijczyków, Niemców, Amerykanów, Anglików literatura francuska zawdzięcza tyleż celom z Bretanii, co i rzymianom z Prowancyi. Nareszcie, dziedziczność moralna osobista jest tak nieznaczna, iż nawet wśród plemion, które, stanowiąc część składową pewnego narodu, pozostały czystymi, nie sposób odróżnić jakiegokolwiek bądź charakterystycznego podobieństwa pomiędzy ich artystycznymi i literackimi przedstawicielami. Nie wiadomo np., czy jest bretończykiem Chateaubriand czy Renan; kto normandczykiem — Flaubert czy też Barbey d'Aurevilly. Goethe i Beethoven są obydwaj Niemcami z południa; Burns i Carlyle — Szkotami. Oto streszczenie poglądów Hennequin'a na tę kwestję<sup>\*)</sup>: wykazują one, że, jeżeli wpływ „rasy“ na rozwój literatury i sztuki, nie jest wprost żaden, to w każdym razie nader zagadkowy.

Nie mniej dosadną jest krytyka, jakiej Hennequin poddaje poglądy Taine'a na stosunki zależności, istniejące wrzekomo pomiędzy duchem artysty, a miejscem zamieszkania jego samego, czy jego rodziny, czy też nawet jego „rasy.“ Jestto jeden z czynników składowych „otoczenia“ (le milieu), któremu Taine przypisuje tak znaczny wpływ na rozwój literatury i sztuki. „Przy obecnym stanie etnografii — mówi Hennequin — niema żadnych poważnych danych, żadnego prawa, któreby pozwalało oznaczyć wpływ, jaki cechy klimatyczne, geograficzne lub malownicze pewnej miejscowości mogą wywierać na jego mieszkańców.“ Jeżeli wpływ ten istnieje, to jest on w każdym razie nadzwyczaj słaby i wymaga długich bardzo okresów dla swego przejawienia.

W kwestyi rasowości krytyka Hennequin'a jest zupełnie słuszną. Podziwiać trzeba, jak i Letourneau np., przedstawiając rozwój moralności, własności, świadomości politycznej, nie spostrzega, że przyznawana przezeń odrębność ras, nie przeszkadza im, aby przechodziły pod tym względem przez fazy prawie zupełnie identyczne. Jeżeli jedno z nich przystało na niższych szczeblach, a inne posunęły się wyżej na drabinie społecznego rozwoju, to jedynie dzięki rozmaitości warunków materialnych, wśród których się rozwijały. Bogactwo lub ubóstwo otaczającej przyrody, potęgując lub hamując postęp ekonomiczny, potęgowały lub hamowały ogólny rozwój społeczny i wszystkie strony świadomości ludzkiej z nim związanej, między innymi artystycznej. Oto czemu sądzimy, iż otoczenie fizyczne, przyrodzone ma daleko większy wpływ — jakkolwiek pośredni tylko — na rozwój literatury i sztuki, niż Hennequin to przypuszcza.

Ostatecznie dochodzimy do wniosku, iż, ustanawiając hierarchię, pomiędzy czynnikami od których, zdaniem Taine'a, jest zależny rozwój literatury i sztuki, trzeba na-  
znaczyć miejsce najpodrzedniejsze rasie, na-

stępnie, bardziej wybitne „otoczeniu przyrodzonemu“, a pierwszorzędne „otoczeniu społecznemu“ (które obejmuje „le milieu social“ i „le moment“ Taine'a).

Zdanie to, że rozwój świadomości artystycznej znajduje się pod przeważnym wpływem rozwoju stosunków społecznych, spotyka się z poglądem prof. Hutcheson Macaulay Posnett'a, który w znakomitem swem dziele o „Literaturze porównawczej“ dowodzi, iż morfologia artystyczna jest wszechstronnie i ściśle związana z rozwojem życia społecznego. Pokazuje on nam, jak pierwotny gens, drobna republika starożytna, monarchia feodalna, okres cywilizacji narodowych, i nareszcie cywilizacja ogólnoludzka, kosmopolityczna — jak każda z tych faz społecznego rozwoju wywoływała odpowiednią fazę rozwoju świadomości artystycznej.

Jeszcze Karol Otfried Müller zauważył, że trzy stopnie ewolucyi politycznej greków znajdują jakby swe odbicie w rozwoju ich literatury: okres epiczny odpowiada monarchii z całokształtem jej urządzeń społecznych, poezja liryczna — czasom najburzliwszym ustanowienia rządów republikańskich, dramat — hegemonii Aten i okresowi wolności. Jestto jednak drobny tylko przykład. „Weźcie jakiegokolwiek bądź utwór artystyczny — powiada Posnett — a przekonacie się, iż istnienie jego jest pośrednio lub bezpośrednio zaważowane przez pewne formy pojęcia społecznego.“ Ale zanim przejdziemy do tych kwestyi, musimy jeszcze zobaczyć, jak się one Taine'owi przedstawiały, a zarazem, czy pośród stosunków społecznych, które krytyk angielski na równi z francuskim, bierze zupełnie sumarycznie nie może być znowu ustanowiona pewna hierarchia. Wymagać to będzie, abyśmy nadali pracy naszej charakter na poły literacki i na poły socjologiczny. Ale cóż robić? Literatura i sztuka są to zjawiska *par excellence* społeczne i pojąć ich w oderwaniu od społeczeństwa niepodobna.

Leon Winiarski.

## ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

### VI.

Trzecim najjaskrawszym, wyzutym z wszelkiego prawdopodobieństwa i miejscami odrażającym melodramatem jest „Omyłka“, będąca istotnie wielką, ledwie zrozumiałą omyłką talentu autora. Popęlił on ją, nie jak dwa poprzednie utwory, w pierwszych latach swej działalności, ale w późniejszych (1885); tem bardziej właśnie zadziwia nas niedojrzałość i kalectwo tego cudacznego płodu, który mógł wejść do literatury bez nagany tylko pod szerokim skrzydłem popularności Prusa. Zapomniałszy o sympatyi, jaka go zewsząd otacza, nie zdołalibyśmy nigdy pojąć, dlaczego w krytyce naszej ochłostano początkowo „Szkiecę węglem“ Sienkiewicza, a spokojnie lub nawet z uznaniem przyjęto „Omyłkę.“

Trudno o większą odległość na skali i tegoż samego umysłu, nad tą, jaka dzieli ową „Omyłkę“ od „Anielki.“ Jest to bowiem odległość ramoty od utworu mistrzowskiego, chociaż poprzedzającego tamtą o lat pięć. Prus nazwał początkowo tę piękną swoją pracę „Chybioną powieścią.“ Jeżeli nowa ta zdradza bodaj w najmniejszym stopniu mniemanie autora o swem dziele, to mamy jeden więcej dowód częstych omyłek ojców literackich w sądzeniu swych dzieci. „Anielka“ zasługuje na dokładniejsze poznanie i dlatego radzimy czytelnikowi, ażeby nie poprzestał na tym treściwym wyciągu, który mu tu podać możemy. P. Jan, dziedzic folwarku, odłużonego hulankami

i opustoszonego ciąglą nieobecnością gospodarza, chce jeszcze z niego wyciągnąć na lekkie życie pozostałą resztę. Był to „słaby pływak, umiejący tylko kłaść się z wdziękiem na fali wypadków.“ Twierdzi on, że „kiedyś, gdy się ureguluje zachwiane społeczeństwo, on ma nadzieję odzyskać wszystko.“ Na rachunek tej wiary trwonili, co tylko się dało, a wreszcie sprzedał las niemcom pod warunkiem, że wprzód usunie służebność. Ma on żonę, przyzwyczajoną do zbytku, której klejnoty kolejno zastawia i sprzedaje, a która, po części z przywidzenia, nieprzerwanie choruje i wmawia chorobę w synka, strzeżonego przed świeżem powietrzem. Natomiast córka jej (13 letnia) Anielka, wychowująca się pod okiem nauczycielki, starej panny, wiecznie podejrzewającej Jana o zamach na jej cnotę, rozwija się swobodnie i szybko. Tymczasem chłopci nie chcą usunąć służebności separacyą i dopiero zgodzili się na nią, przerażeni wtedy, kiedy wobec nadchodzącego terminu wyrąbywania lasu, pan cały majątek niemcom sprzedał. Wyjechał on, nie uprzedzwszy o tem żony. Zanim wszakże usunęli ją nowonabywcy, często karany i mszczący się za sprzedaż ziemi chłop Gajda podpalił dwór. Pani Janowa schroniła się do pozostałego folwarku, gdzie w ubogiej chacie z karbowym i jego żoną, pędzi dni smutne bez środków i wiadomości od męża. Szuka wreszcie przytulku u jego ciotki, która ją niejednokrotnie wspierała, dzieci zaś pozostawia u karbowego. Anielka rozchorowała się ciężko, oczekując matki, która umarła. Zabiera ją do siebie w tym stanie baronowa Weiss, o której Jan myślał jeszcze za życia żony i którą nakoniec poślubił. Tu Anielka wyzdrowiała.

Te niezmiernie proste ramy obejmują jeden z najpiękniejszych obrazków pomienionych, jakie posiada galerya naszej literatury. I tu, jak we wszystkich utworach Prusa, główna wartość spoczywa nie w całości obrazu, nie w jego kompozycyi i w postaciach, ale w szczegółach. Niektóre sceny czy to tryskające przedziwnym humorem, czy to oddychające głęboką rzewnością, są nakreślone genialnie. Przyjaźń Anielki z Karusiem (psem), jego tragiczna podróż za państwem, kiedy opuścili dwór, Szmul i jego karczma, przyjazd Weissowej i zachowanie się jej kamerdynera w chacie karbowego, wszystkie wreszcie przełomy losu *moritur'ów*, których Prus tylko zlekka swą satyrą podcinał — to pomysły znakomite w wykonaniu mistrzowskiem. Z wielkiego bogactwa rysów charakterystycznych przytoczymy jeden, przekonujący, jak Głowacki umie drobnym znakiem zewnętrznym uwidocznić nastrój wewnętrzny swych bohaterów. P. Jan, opuszczając swój wyssany i sprzedany niemcom folwark, pragnie zachować pozory dawnego szyku i powiada do fornala.

— „Mój kochany, zdzieraj lepiej ugule, aby konie tak łbów nie zwieszały.“

Jeżeli powieść ta ma jakąś tendencję po za przedmiotowem odtworzeniem życia, to chyba zawartą w tej trafnej uwadze: „Brat szlachcic wynaleziony został przy pełnym kieliszku dobrego wina, ale: „każdy człowiek jest bratem naszym“ wynaleziono przy kieliszku goryczy. „Anielka“ podaje czytelnikowi oba te kielichy.

Wcisnąć się Niemców do naszego kraju przez bramy dworskie, a nie przez szpary wieśniacze, często zajmowało myśl i wyobraźnię Prusa. Na fankcie tym wszakże oparł on głównie swoją słynną „Placówkę.“ Mówimy: słynną, żadna bowiem z jego powieści nie doczekała się tylu (czterech) wydań i tak szerokiej popularności. Zna ją cały ukształcony ogół, zna już po części i lud (w przeróbce „O ojcowiznę“). Zola w *La terre* przedstawił szerzej i wierniej właściwe chłopom wszystkich krajów europejskich namiętne przywiązanie do ziemi i łakomą żądzę posiadania jej; ale ponieważ on tylko widzi i umie malować *la bête humaine*, prze-

<sup>\*)</sup> Str. 96—106.



to ukazawszy gdzieindziej, jak „zwierzę ludzkie“ kocha, rozpustuje, zabija, zrywa łańcuchy, a przedewszystkiem wiąże się w trwałe lub zmienne pary, opowiedział tu, jak ono łaknie ziemi. Prus nie jest naturalistą, a natomiast jest nieco socyologiem i z konieczności politykiem, więc i sama kwestya musiała w jego umyśle zabawić się tymi pierwiastkami i przybrać postać mniej psychologiczną, a bardziej społeczną. Pan, znudzony gospodarstwem wraz z żoną, podczas krakowskiego wesela odwołany na chwilę od tańców, sprzedaje folwark kolonistom niemieckim. Ale potrzebują oni, a zwłaszcza jeden z nich nabyć piaszczystą górę dla wybudowania na niej wiatraka. Góra ta należy do chłopu, Ślimaka, który odrzuca najkorzystniejsze z ich strony propozycje i ani kawałek ziemi ustąpić nie chce. Mają oni nadzieję nakłonić go, później zaś złamać przezśladowaniami. Chłop jednak, mimo że mu odebrali łąkę, a z nią możność wyżywienia bydła, mimo że mu wsadzili syna do więzienia, mimo że w tej walce zubożał, stracił żonę i dziecko, a nawet chatę, którą mu spalono, nie tylko wytrwał w uporze, ale zmusił Niemców do oddrzedania ziemi włosianom i przesiedlenia się gdzieindziej. Jak łatwo dostrzedz, ekonomiczna i życiowa podstawa powieści nie wytrzymuje krytyki. Owa bowiem piaszkowa górką, jako cel zabiegów ze strony kolonistów, jako powód opuszczenia zagospodarowanych siedzib, jest motywem blachym i sztucznym, pomijając już ten wzgląd, że prawdopodobnie żaden chłop nie bronilby jej z takim bochaterstwem i chętnie zamienilby ją na lepszy kawałek pola lub łąki. Ale przy sądzeniu „Placówki“ nie wazy nam tyle wybrana przez autora realna forma gruntu bojowego, ile tocząca się na tym gruncie walka. W tym fantastycznym pomysle wystarczy dla zadowolenia prawdy jego rdzeń wydobyty z życia, które rzeczywiscie przedstawia nam w rozmaitych odmianach pochopność panów do sprzedawania i wynarodowiania ziemi, a dziwną siłą chłopów w zachowywaniu jej. Jeżeli więc tylko zgodzimy się na taką postać tego przeciwieństwa, jaką nam daje „Placówka“, ujrzymy je zarysowane i oświetlone wspólnie. Dwór przedstawiony w niej nieco karykaturalnie (zwłaszcza sprzedaż folwarku podczas tańców), ale za to, oprócz Sienkiewicza w „Szkiecach węglem“, nikt nie zajrzał w duszę polskiego chłopu tak głęboko, nikt z niej nie wydobył takiego źródła brutalizmu pomąconych, ale zdrowych uczuć, nikt tak nie wypatrzył krytych dróg jego myśli, nikt tak nie poznał dziwnego biegu jego logiki, źródła upodobań i wstrętów, jak Prus. Tego nie osiągnęłoby najdłuższe i najskrupulatniejsze badanie, taką wiedzę posiadać może tylko intuicyja wielkiego talentu. A jeżeli nawet chłop ten nie jest jednolity, rozwinięty w charakterze konsekwentnie, to zawsze każdym ze swych znamion ludzko przypomina rzeczywistego. Dla przykładu otworzmy „Placówkę“ na pierwszej lepszej stronie. Do Ślimaka przybywa jego kum, który namawia go do kupienia krowy, za którą żąda „trzydzieści pięć rubli papierkami i rubla srebrnego na postronak.“ Nie chce nie ustąpić, bo jest to własność sieroty. Ale przy kolacyi, obficie zalewanej wódką, targ zmienia się: rozczulony Ślimak natarczywie daje więcej, a równie rozczulony kum żąda mniej. Nareszcie obaj legli snem zmorzeni. Nazajutrz pyta żonę, jak zakończyła kupno.

— „Zapłaciłam mu — odpowiada ona. Ale nie chciał wziąć trzydziestu trzech rubli, tylko trzydzieści dwa; bo mówił, że kiedy Chrystus Pan trzydzieści i trzy lata żył na świecie, więc za krowę nie wypada brać tyle.“

Mądra kobieta, wyprawiając męża do dworu, ażeby wydzierzał łąkę, daje mu taką przestrożę:

— „Naści dziesięć rubli. To panu daj do garści, a resztę odnieś mu jutro. Uważaj

zaś, ile ci powie za łąkę i zaraz pocałuj go w rękę, obejmij za nogi i proś, żeby ci choć ze trzy ruble opuścił. Nie odstąpi trzech rubli, to choć wytarguj z rubla; ale póty ich obejmuj, jego i jaśnie panią, aż coś opuszcza.“

Na pozór wydaje się to dziwnem, że powieść tak wiernie przedstawiająca życie ludu, nie budzi (o ile nam wiadomo) w nim zajęcia i nie znajduje chętnych czytelników. Objaw to jednak zrozumiały. Naprzód są w niej pewne rysy zbyt delikatne i dla prostych umysłów niedostrzegalne, a potwórze odbija ona te znamiona charakterystyczne, które nas uderzają. Prości czytelnicy „Placówki“ nie mogą pojąć ani racji, ani ważności moralno-społecznej bohater-skiego oporu Ślimaka, nie rozeznają humorystycznego tętna w jego targu o krowę lub w dziecięcej podejrzliwości przy układach. Jak odmienne i bardzo pochodzeniem oddalone rasy wydają dla siebie pewną woń, której w sobie nie czują, podobnie odległe klasy społeczne rażą się wzajem pewnymi właściwościami, których sami nie widzą. Lud spostrzega śmieszności panów, ale nie spostrzega swoich, a skutkiem tego prawie cały urok „Placówki“, cały jej artyzm przed nim niknie. Nie jest to więc bynajmniej powieść dla ludu, jak nie są dla niego obrazy Chelmońskiego, Kostrzewskiego lub Witkiewicza, gdyż punkt widzenia autora, a więc i czytelnika, nie jest chłopski. Jeżeli Ślimak, chcąc otworzyć jakieś ujście swemu gniewowi, kopie otrutego psa, lub odpasawszy „rzemień“, uderza nim syna bez powodu, to dla nas takie przejawy prostego charakteru mogą być ciekawe, ale nie interesują wieśniaka, który wogóle realizmu nie lubi i tkwiąc ustawicznie w kałużach życia, pragnie bodaj myślą wydobyć się z nich i rozejrzeć się po widnokręgu jaśniejszym. Z tej przyczyny nad wszystko przekłada bajki i bohaterów legendowych. (D. c. n.).

## FEJLETON.

### LIBERUM VETO.

Powódzie w Europie. — Walka pod teatrem. — Odsiecz p. K. Zalewskiego. — Żle wybrana pora. — Użytki sceniczne. — Czy nam potrzebne. — Ludzie i zwierzęta. — Pożyteczna instytucja. — Pracownia higieniczna miejska. — Krytyka przemysłu i handlu. — Ścisła rewizya i wolny wstęp. — Popisy cyklistów i wioślarzów. — Gdzie nas nikt nie zdystansuje.

Kawał Europy zalały rzeki, zrządziwszy milionowe szkody i wydarłszy resztki mienia biednym ludziom. Szwajcaryja, Niemcy południowe, Tyrol, Czechy pod wodą. Żal nam zwłaszcza biednego, z takim mozołem i skrętnością zbudowanego mrowiska czeskiego, które nie prędko wyrówna swe olbrzymie straty. Galicya tym razem ocalała, ale kto wie, co ją czeka.

Nasza Wisła zachowała się spokojnie i tak wstrzemięźliwie, że więcej wody przepływa przez kolumny dzienników, niż przez jej wysuszone łóżysko. Znadejściem wszakże chłódów zaczynamy się rozgrzewać. Już w prasie toczy się walka pod teatrem. Kilka pism zaatakowało tę twierdzę, której załoga, ufając swym fosom i murem, nie odpowiadała strzałami, ale z odsieczą przybył jej sojusznik, p. K. Zalewski z *Kurierem warszawskim*. Ocenivszy przedstawienie „Sprawy Clemencau“, powiada on: „Puszczyki i złowrózne kruki chciałyby w mar-nem zaślepieniu przepowiedzieć możliwy upadek sceny... Przeciwnie dowodzi ona ciągle, że ma prawo bytu i rozwoju jaknaj-szersze, które przeciąć można, ale choroby śmiertelnej, a nawet bardzo widocznego osłabienia żaden uczciwy lekarz nie stwierdza.“ Mogłoby to być słusznem i budzić

wiarę w zdrowie naszego teatru (raczej re-żyseryi), gdyby jego obrońca dla swego na-pomnienia wybrał był lepszą porę. Ale on skarcił „puszczyki i złowrózne kruki“, uty-skujące na lichotę i bezmyślność repertua-ru akurat po wystawieniu „Sprawy Cle-menceau.“ Bo i czemuż jest według niego ta sztuka? „Jest dziełem brudnem, nieza-wodnie przypominającym życie z jego stron najwstrętniejszych“, w dodatku „nie ma ten dramat ani setnej części tych przymio-tów faktury, ani drobiazgowej psychologii w rzeźbieniu szczegółów akcyi, ani owej jed-ności stylu, jaką ma powieść lub inne u-twory Dumasa.“ To też „w Paryżu upadł sromotnie, bo nie dociągnął nawet czter-dziestu przedstawień.“ Ażeby dać miarę odrady, jaką ta sztuka budzi w krytyku, dość powiedzieć, że woła on uniesiony do najczystszej jej bohatera: „Twoje małżeń-stwo i całe życie z żoną — to było mięso drugiego mięsa żądne, i nie dziwnego, że wyrobione przez ciebie zwierzę poszło się tuczyć przeklętym chlebem nierządu, gdy twój mu nie wystarczał lub nie był dość smaczny. *Bydło jesteś*, panie Piotrze Cle-menceau.“ Czy do takiego wyroku o osta-tnim dowodzie rozumu i gustu reżyseryi można przyczepić wyrzut dla „puszczyków i złowróznych kruków“, oraz „zaznaczyć żywotność sceny“? P. Zalewski to zrobił, ale niepotrzebnie. Bo zdawałoby się, że on właśnie winienby pochwyć największy kamień i cisnąć go na reżyserję za „Sprawę Clemencau.“

Nie rozbieram tego nowego protokołu sekcji genitaliów, bo od 20 lat powtarzam z dobrym namysłem, że Dumas jest fabry-kantem fałszywych klejnotów sztuki, że jest umysłem idyotycznie ograniczonym, że jego wszystkie „tezy“, „kwestye“ oraz ich rozwiązania nie warte są funta kłaków, że on zapomina o istnieniu u ludzi mózgu, ser-ca, płuc, rąk i tylko pamięta o istnieniu na-rządów rozrodczych, że jest to filozof, któ-remu świat przedstawia się jako wielkie to-kowisko. Prostytutka mniej myśli o swo-im zawodzie, niż on. Nie o niego wszakże mi chodzi, ale o nas. Rozumiem, że tacy Dumasi są nietylko naturalni, ale nawet potrzebni we Francyi. Naród, który już nie może mieć pożądaney ilości dzieci i chce ich brak wyrównać naturalizowaniem cudzo-ziemców (Leroy-Beaulieu), który wygasa i zamiera, który jest niedołężnym starcem lub wyniszczonym rozpustnikiem, naród taki musi naśladować starców i rozpustni-ków, to jest mówić o tem, patrzeć na to i słuchać tego, czego robić nie może, musi łaknąć podrażnień i galwanizowania osła-bionej namiętności. Scena i powieść są dla niego rodzajem narkotyków, podniecają-cych używek, pornograficznych bodźców. Ale na co nam to wszystko? My bez drama-tów, komedyi i romansów francuskich mo-zemy jeszcze mieć tyle dzieci, ile nam po-trzeba, my jesteśmy narodem zdrowym, nie-zniszczonym, po co więc tak chciwie spoży-wamy drażniące leki francuskie? Kiedy wi-dzę nasze konsylia krytyczne, rozprawiają-ce o tem, czy kombinacya z dwóch męż-czyzn i jednej kobiety lub z dwu kobiet i jednego mężczyzny jest naturalną, czy nie, albo czy jakaś margrabina powinna pójść na schadzkę, czy powstrzymać się, albo czy jakiś samiec ludzki miał prawo zamordo-wać samicę, czy nie miał, zdaje mi się, że jest to narada lekarzów od „sekretnych nie-mocy.“ Nie przeczę, wszystkie te wypadki zdarzają się i u nas, ależ do licha nie sta-nowią one głównej osi życia, na której obracają się wszystkie jego koła. Jeśli zaś ma to być miłość, owa dawna przedza, któ-rą ludzkość w swych utworach artysty-cznych snuje od czasu, jak istnieje i której nigdy snuć nie przestanie, to niechże ona bę-dzie splotem tych podniosłych uczuć, w ja-kie przerodziła się w równoległym rozwoju z innymi czynnikami cywilizacyi, a nie wy-buchem i walką dzikich lub zginiłych in-stynktów. Miłość Dumasów nie goreje wiel-



kim płomieniem sero Shakespeare'a lub Schillera, ale tli się, dymi, śwędzi i dopiero wtedy sprowadza szalę, gdy jak wiązka zapalonego chróstu zostanie przywiązana na łbie rozwścieklonego zwierzęcia. Zachodzi tedy pytanie: czy narkotyki sceny francuskiej, przeniesione na naszą, nie wywołują objawów chorobliwych, nie wytwarzają zwyrodnień uczuciowych, czy nie rozstrajają naszego zdrowia? „Bydłę jesteś!” — woła do Piotra Clemenceau p. K. Zalewski; ależ takich, a nawet gorszych bydła jest co najmniej para w każdej sztuce francuskiej. Czemż więc nie występujemy zasadniczo przeciw tej oborze i widowisku sta-da jałówek, krów i byków? A może my również jesteśmy społeczeństwem „zblazowanym”? Trudno domysłem rozstrzygać stanowczo, ale jeżeli sale wystawy skandalów francuskich na scenie naszej po kilku wieczorach bywają znacznie opróżnione, jeżeli ciekawość widzów wystarcza zaledwie na kilkakrotne zapełnienie ich, to świadczy, że nasz ogół jest za zbyt zdrow, ażeby się podniecał takimi używkami, że w nim istnieje tylko pewien zastęp istot uczuciowo zużytych i wyczerpanych, spieszących na pierwsze przedstawienia i podtrzymujących obecny nastrój teatru. Dla nich on głównie istnieje, o nich pamięta, im też swój upadek zawdzięcza. Rzecz można, że ludzie myślący, ludzie z niezakażonymi uczuciami, ludzie szukający wielkich natchnień i wielkich charakterów, nie mają u nas teatru; mają go tylko ci, którzy zdrobnili wszystko, co świat posiada, do rozmiarów pyłu i oddychają tym kurzem.

Te szychy rozwieszone nad upodleniem ludzkim, te ubarwione promieniami słońca wypary zgnilizny życia tak zasłoniły nam prawdziwą niedolę, jak gdyby ona nie istniała i nie była olbrzymią górą, rzucającą swój ponury cień wokoło. Do pewnego też stopnia sprawozdawca sąsiedniej rubryki ma słuszną, twierdząc, że nasze pisma więcej objawiają dbałości o zwierzęta, niż ludzi. Ale z drugiej strony społeczeństwo nie może numerować przedmiotów swego współzucia i objawiać go w perzadku kolejnym; innemi słowy: męczeństwo ludzkie nie powinno usuwać nam z przed oczu zwierzęcego. A to ostatnie, zwykle połączone z niskim stanem kultury, bywa u nas rzeczywiście okropnem. Kto miał sposobność oglądania zagranicą serdecznych stosunków człowieka ze zwierzętami, które dla niego pracują, ten musi ciągle odwracać oczy od dzikiego pastwienia się nad niemi u nas. Zwłaszcza na skórze koni wypisane jest nasze uobczyżanie. Naturalnie słabem wędzidłem i tylko wędzidłem dla takiego okrucieństwa jest dozór, ale je usmierza. Otóż z przyjemnością zaznaczyć wypada, że nasze Towarzystwo opieki nad zwierzętami, dawniej sennie i obojętne, od pewnego czasu okazuje żywą działalność i energię. Jaki dobry duch w nie wstąpił — nie wiemy, ale go widzimy w wyraźnych objawach. Pomnaża ono zastęp swych członków, rozszerza zakres swych obowiązków i zadań, wprowadza swoje wpływy, gdzie może i osiąga coraz większą sumę pomyślnych rezultatów. Życzymy mu najszybszego rozwoju, zarówno w interesie zwierząt, jak ludzi. Opowiadają, że ryba smażona żywa truje człowieka swem przedśmiertnem cierpieniem. Podobnie wszelki tyran nie tylko sprawia boleści swej ofierze, ale zakaza niemi swój charakter. Woźnica, katujący nie-miłosiernie swoje konie a handlarz bydła, tem znęcaniem się rozbustwia swoją naturę; opieka przeto nad zwierzętami jest po-niekąd opieką nad ludźmi, kształceniem ich charakteru a przynajmniej ubezpieczeniem go od rozrostu złych popędów. Jest to jeden ze środków pedagogiki społecznej, która składa się z mnóstwa drobnych czyni-ków, często niedostrzegalnych w swem działaniu, a jednakże wywierających poważne skutki. Nie lekceważmy go, ani tej insty-tucyi, która nimi działa.

Rozwija swą działalność także młoda pracownia higieniczna miejska, która obiecuje nam — jak głoszą dzienniki — oznaj-mić rezultat badań nad wodami gazowymi, wyrabianymi w Warszawie. Będzie to sprawozdanie niewątpliwie ciekawe i pouczające, ale oddając tej instytucyi i jej pracom szczególny, co jej się należy, przyznać musimy, że ona ani potrzebom naszym, ani zadaniom swoim nie odpowiada. Bo jakże jednym i drugim poddać może dwu ludzi, chociażby najgorliwszych i najzdolniejszych, w mieście z półmilionową ludnością? Wobec olbrzymiej masy produktów wymagających kontroli, wobec również wielkiej masy fałszerstw, wymagających pospiesznego zata-mowania ich, czemże jest ten maleńki probierz naukowo-higieniczny, ta garstka ana-liz, których pracownia zdąży dokonać? Tu należałoby postawić nie kilku, ale kilku-nastu specjalistów. Czem ich opłacić? Nie lekceważę tego pytania, ale przecież stało ono przed zarządami wielu miast zagranicznych, które znalazły na nie prakty-czną odpowiedź.

Nadto pracownia taka winna albo wyda-wać stałe sprawozdania publiczne, albo też posiadać w prasie własny organ. Wyniki bowiem jej śledztw naukowych nie mają jedynie znaczenia teoretycznego, lecz w wy-sokim stopniu obchodzą ogół. Nie tylko Bujwid i jego pomocnicy powinni wiedzieć, jaki produkt jest dobry, a jaki zafałszowa-ny, ale również i wszyscy spożywcy.

Rzecz dziwna, skoro w teatrze ukaże się najgłupsza farsa, natychmiast kilkudziesię-ciu krytyków szczegółowo ją sędzi i donosi swym czytelnikom o jej wartości. Ale gdy na rynku wielkiego miasta ukaże się naj-szkodliwszy towar, który zniszczyć może zdrowie tysiącom ludzi, nikt go nie zbada, nikt publiczności nie ostrzeże i dopiero trze-ba czekać przypadku, ażeby oszustwo lub nadużycie zostało wykryte. Dlaczego sztuka i nauka mają posiadać swoją nieustają-cą krytykę, a przemysł i handel — nie? Dla-czego książka wchodzi w obieg po staran-nej rewizyi, a chleb, mleko lub sukno nie podlegają żadnej systematycznej kontroli? Tymczasem jeżeli wydrukuję nieudolne rymy, mniej zaszkodzi ich nabywcom, niż sprzedając im śmietanę, zaprawioną wa-pnem. Na nieszczęście prasa płynie ciągle między dwiema skalami, które jej grożą niebezpieczeństwem: jeśli jakiś towar zgani, wywoła burzę; jeśli pochwali, ściągnie za-rzut, że przemysła do swego tekstu płatne reklamy. Jedna tylko pani Ówierciakiewi-czowa — nie wchodzi tu w słusność jej sądów — ma odwagę potępić lub zachwa-lać w *Bluszczu* koronki, materye, kapelu-sze, suknie, magazyny, restauracje itd., a wyrokuje z taką stanowczością, na jaką nie zdobyłoby się wielu krytyków arty-stycznych lub naukowych. Gdyby w dzie-dzinie przemysłowej można było wytworzyć bezstronną i gruntowną krytykę, odda-laby ona nam nieocenione usługi. Bo jak gra p. Grünfeld z Wiednia, to daleko mniej ważne, niż jakie skóry wyrabia w Warsza-wie Temler lub Pfeiffer, a jakie piwo Jung lub Machleid.

„Dzielni” i „sprężysti” odbyli swoje co-roczne popisy, przyczem jedni z uczestni-ków przyplęgli lub przyjechali wpród do mety a drudzy później. Oprócz tego zwy-kłego w takich razach wyniku zauważyć jeszcze można, że cykliści wykazali podczas tegorocznych wyścigów znaczny postęp w swej sztuce a jak utrzymuje dr. Neuge-bauer, autor broszury o wpływie sportu ko-łowego na zdrowie — i w sile mięśniowej. Przynajmniej po tej drodze spieszymy się i na rowerach lub bicyklach dościgamy za-granicę. Za to stanowczo wyprzedzamy ją w wioślarstwie... zimowem. Tu nas nikt nie zdystansuje. Proszę poczekać do kar-nawału.

Posel Prawdy.

## NA WIDNOKRĘGU.

Kwestyonaryusz pruski w sprawie robotników, napły-wających z Królestwa Polskiego. — Co najlepiej chara-teryzuje gospodarkę Indywidualistyczną? — Rachuby ziemiańskie. — Altruizm na manowcach. — Społecz-ństwo bawole a ludzkie. — Jeszcze o emigracyi brazy-lijskiej z Łodzi. — Idea walki klasowej w *Gazecie ra-domskiej*.

Bismark, wydalaając z granic państwa pruskiego w rozdrażnieniu starczem robo-tników, miał tylko na względzie krajowe cele polityczne, tymczasem, jak wiadomo, wkrótce po spełnionym akcie banicyi wła-sni współklasowcy kanclerza — wielcy i średni posiadacze ziemscy — musieli syknąć z bólu właściwego kapitalistom, którym zabraknie rąk roboczych. Administracyj-ny kij zacieklego wyganiania okazał się dwukończowym: dostali dotkliwie cieżę do-mniemani wrogowie państwa, ale też nie uniknęli ich i zbieracze renty gruntowej. Teraz, po kulturalno-politycznem *vorwärts*, przysła kolej na gospodarcze *rückwärts*! Cofanie się jednak obiecuje być ostrożnem i systematycznym — z latarnią, statystyki w rękę. Przesłano więc władzom pruskim w pogranicznych prowincjach wschodnich kwestyonaryusz, który ma wyjaśnić nastę-pujące stosunki:

1) Czy robotnicy i robotnice pochodzenia rusko-polskiego proponują swe usługi do-browolnie, czy też przywożą ich rozmaici dostawcy?

2) Czy uprawa buraków wpływa silnie na wzrost napływu tych robotników i robo-tnic, lub przynajmniej o tyle, że odnośne roboty biorą na siebie dostawcy, posiadają-cy swój własny personel tak, iż zajęci przy sadzeniu i zbiorze buraków najmici nie znajdują się w żadnych stosunkach służbo-wych względem właściciela ziemskiego?..

3) Czy istniejące przepisy, dotyczące de-klaracyi co do przyjęcia na robotę i kontro-li — są dostateczne do przeciwdziałania na-pływowi żywołów polskich?

4) Czy były takie wypadki, że robotni-cy polskiego pochodzenia, którzy przybyli w granice Prus, wrócili po ukończeniu ro-bót do domu, lecz przeciwnie, na długo osie-dlili się w kraju, nie starając się przytem otrzymać prawa poddaństwa pruskiego?

5) Czy zdarza się, że przybyli do Prus ro-botnicy polscy zmieniają podczas swego po-bytu w Prusach i przed powrotem do domu miejsce swego zarobku. Następnie, czy za-chowują oni dokładnie w podobnych wypadkach istniejące przepisy policyjne, doty-czące zawiadamiania o porzuceniu jednego miejsca zarobku i przejścia na drugie?

6) Czy bywały wypadki, że synowie ro-botników wędrownych z Królestwa Pol-skiego, pozostałych w granicach Prus bez przyjęcia poddaństwa, zapisywani byli przez omyłkę do wykazów wojskowych, a nawet pociągani potem do pełnienia powinności wojskowej?

7) Jakie przyczyny i okoliczności wywo-lują napływ robotników polskich i współ-działają jemu?

Od rozstrzygnięcia więc przez władze pruskie tego „siedmiokrotnego czy” — za-leżeć będą dalsze losy naszego „wolnego naj-mity”...

Nie może lepiej nie charakteryzuje istoty dzisiejszej organizacyi gospodarczej i instyn-któw ludzi, podpierających ją swojemi ple-cami, jak rokrocznie po żniwach powtarza-ne rachuby ziemian. Żeby wynik tych ra-chub mógł rozpromienić twarz wytwórców zboża na potrzeby rynku powszechnego, niezbędne są po ich stronie liczby dodatnie, po stronie zaś pozostałego świata — ujemne. Dopiero pół-kłeska, a lepiej jeszcze — cała, któraby dotykała rolnika niemca, francuza, yanke'go, indusa, persę: są obfitem źródłem szczęścia rolnika nadwiślańskiego, no, i od-wrotnie.



*Rolnik i Hodowca*, a z nim jego zwolennicy, tak rozumują: „Ukończone już zniwa w bardzo pomysłnych warunkach przekonają, że urodzaj jest dobry. Co do widoku cen, zdają się one być pomysłne.“ Na czem polega ta pomysłność? Na wyższości cen, skutkiem „wyjątkowo niskich zapasów zeszłorocznych“ — to najgłówniejsza. Dalej na całym szeregu niedoborów w tegorocznej produkcji rolnej krajów współzawodniczących. Wogóle na podstawie „obliczeń szeregów“ zbiory pszenicy na całym świecie będą o 10,770,000 kwartarów niższe od potrzeb konsumpcyj. W tem miejscu — oddajmy interesowanym sprawiedliwość — serce uderzyło im na chwilę tętnem uczucia ogólnoludzkiego i taki wielki niedobór, sam przez się niewinny, łącznie z bardzo małymi zapasami zeszłorocznymi — wydał się zaskakującym. Złożyły się nań poszczególne nieurodzaże. Ogólny zbiór pszenicy przyniósł w Indiach w r. b. 6,303,900 ton, wobec 6,762,000 w ostatnim roku, a 7,456,300 przeciętnie w ostatnich pięciu latach. Wywóz pszenicy z portów indyjskich wynosił w ostatnim tygodniu 81,000 kwr. wobec 96,000 kwr. w tymże tygodniu r. z. Zbiory pszenicy w Ameryce są niepomyślne. Tegoroczny zbiór jej jest o 70 milionów buszli mniejszy od zeszłorocznego. I dowoży są mniejsze, w ostatnim tygodniu przywieziono na niektóre najgłówniejsze targi 225,000 ker. pszenicy, wobec 275,000 w r. z., a 328,750 — w 1888. W Austro-Węgrzech deszcze wpłynęły źle na jakość ziarna, skutkiem czego próby pszenicy węgierskiej, zjawiającej się zwykle na rynkach europejskich najpierwej, są „nie bardzo piękne.“ Francja, ponieważ spodziewała się może o 10—12% mniejszych zbiorów od zwykłych średnich, będzie musiała wwieźć do siebie z zagranicy 12—15 milionów hektolitrow. Tylko Niemcy i Anglia niecnota mają „widoki na rezultat zbiorów pomyślne.“ To jednak nie przeszkadza, iż „handlarze zboża i młynarze krajów zachodniej Europy zwracają dziś najwięcej uwagi na zbiory Rosji.“ Ponieważ zaś powszechnie panuje przekonanie, że zbiory te będą lepsze, niż w r. 1889, są więc szanse pomyślności.

Tak *Rolnik i Hodowca* cieszy siebie i innych.

W Kaliszu stał się wypadek, któremu *Kaliszanin* poświęcił cały artykuł. W miejscowym szlachectwie dwóch czeladników rzemieślniczych wrzuciło do kotła z ukropem — niedobitego wieprza. „Nieszczone zwierze — powiada reporter — odcucone bólem, miało się po kotle tak silnie, że wyrzuciło masy waru, zanim żywcem zostało ugotowane.“ Czyn zaiste barbarzyński i zasługujący na skarcenie. To też, dwaj ci „szakale“ zostali pod sąd oddani.

Postawa, jaką prasa a z nią i publiczność przybierają wobec cierpienia katowanych zwierząt — z punktu psychologicznego sama się przez się wyjaśnia (wynika z sympatyj), za to pod względem społeczno-etycznym wymaga pewnych uwag. Ten nierównomierny wylew litości w kierunku zwierzęcia dręczonego a człowieka wyzyskiwanego przez człowieka, jest wysoce znamienym rysem naszego czasu. W społeczeństwie zwierzęcem byłoby anomalią taka wybujałość altruizmu w stronę obcogatunkowców. Gdyby jakie zbiorowisko zwierzęce, np. słoni, bawołów lub antylop mogło kiedykolwiek uorganizować się na wzór społeczeństwa ludzkiego, to posiadając nawet kapitalistów i robotników, stanowczo musiałoby różnić się pod jednym względem, mianowicie, dawałoby pierwszeństwo takim instytucjom, któreby przedewszystkiem osłaniały od cierpienia osobniki ich własnego gatunku, a dopiero potem pomyślałoby o opiece nad istotami innego, ujarzmiionymi przez nie. Bawół, mając do wyboru między rykiem okaleczonego i zgłodniałego bawołu a wyciem, jeśli to możliwe, wilka roboczego lub kwieczeniem świni ujarzmiionej,

z pewnością przedewszystkiem by odryknął współczuciem dla jednogatunkowca, niż by odkwiknął obcogatunkowej maciorze. Ten ostatni akt litości spełniłby później, załatwiwszy się wprzód ze złośliwym towarzyszem. Taki zaś pomiędzy nimi, któryby, odwracając naturalny porządek rzeczy, objawił większą czułość na wycie wilka i kwik świni, niż ryk bawoli, byłby prawdopodobnie uznany za niedorośle społeczne, za okaz zwyrodniały.

Rzeczywistość jednak jest nielitościwą, bo fundament przemysłu łódzkiego — najmięci, zamiast być nieruchomymi, jak skała, a cierpliwymi w swej roli armii zapasowej, jak fakirzy indyjscy, dowiedli, że są piaskiem lotnym i luźnym w tej postaci, poleciały się opiece agentów-szachrajów, „wysypują się“ z kraju za morze, pomimo nawoływania błagalnych i gniewnych, nawet pomimo najdotkliwszych przeszkód — utrudnień paszportowych. Fabrykanci łamią ręce, nie mogąc tego potoku zatrzymać, gdy tymczasem nigdy bardziej, jak wobec chwilowego ożywienia w przemyśle, wobec obstatunków, poczynionych przez kupców dalekich — potok ten nie przydałby się na koła ich młynów — warsztatów. Czynią co mogą. Podobno nawet kilku fabrykantów podwyższyło płace tygodniowe o 2 ruble, chcąc tem odciągnąć robotników od emigracji. Liczbę najmitów, uniesionych falą wychodzącą, obliczają domorośli statystycy, sposobem domowym, już na *pięć tysięcy*. A tymczasem ruch towarowy na drodze fabryczno-łódzkiej od zimy powiększył się w trójnasób. „Z górą dziesięć wagonów odchodzi i około stu przychodzi niemal codziennie. Znacznymi zakupami kupców ruskich opróżnione składy fabryczne starają się fabrykanci zapełnić gorączkową i forsowną produkcją nowych zapasów, na które już nowi czekają nabywcy. I wobec tego wzmożenia się ruchu przemysłowego, kilka tysięcy ludzi opuszcza miasto. Nie dziw więc, że panowie fabrykanci drżą ze strachu i szukają różnych sposobów, aby ruch emigracyjny powstrzymać.“ Tak pisze p. A. G., nowy korespondent łódzkiej *Gazety radomskiej*, która, nawiasem mówiąc, nabrała więcej życia i rumieńca zdrowia pod wpływem jego pióra. Jest to pióro odwagne i niewahające się dotykać stosunku fabrykantów łódzkich do robotników, czego znów, niestety, nie można powiedzieć o *Dzienniku*. Oto np. w jaki sposób p. A. G. ciska słowa prawdy kierownikowi produkcji łódzkiej:

„Fakt gorączkowej emigracji świadczy wybornie o opłakanym stanie ludności robotniczej w Łodzi, o tej nędzy i zrozpaczeniu — i o humanizmie panów *erów* i *mannów*. Kilka miesięcy temu 4,000 robotników, wydalonych z rozmaitych fabryk, włóczyło się po Łodzi od domu do domu po żebraniu; trzy razy taka ilość jęczała pod naciskiem ostatniej nędzy, mając zmniejszoną płacę o połowę. Po spaleniu się jednej części fabryki przed Wielkanocą, p. J. K. Poznański, w kilka dni po pożarze i uspokojeniu się wzburzonych umysłów, wywiesił przed fabryką kartę, zawiadamiającą o zmniejszeniu płacy o 40% zgórą i propozycją niezadowolonym szukać gdzieindziej zarobku, pod warunkiem jednak natychmiastowego opuszczenia mieszkania w domu rodzinnym. Toż samo uczynili właściciele wyrobów kaszmirowych p. Rosenthal, ogromna fabryka w Pabjanicach Kruscha i Eudera, i wiele innych, a prawie większa połowa zmniejszyła liczbę godzin pracy. Takie piękne fakty — ciągnie dalej p. A. G. — zdarzają się rokrocznie w pewnych miesiącach i biedny robotnik pod naciskiem nędzy i obawy utraty zarobku — przyjmuje wszelkie warunki. Wobec tego trudno nie usprawiedliwić szalu, jaki opłacał umysły biedaków na wieść o lepszej doli za górami. Chwilowe podwyższenie płacy, jakie miało miejsce ostatnimi dniami, nie może powstrzymać i zapobiedz emi-

gracy, gdyż robotnicy wiedzą o tem dobrze że za łada zmianieniem się okoliczności, ciż sami fabrykanci cofną ową podwyżkę, sprowadzą płacę do dawnej normy, a nawet przy większym napływie ludności do Łodzi, zmniejszą do minimum. Nie dają się więc robotnicy ludzić podwyższeniem płacy, bo doświadczenie nauczyło ich poznawać liść i wspaniałomyślność fabrykantów.“

Taką podaje p. A. G. przyczynę trudnej do zatamowania emigracji brazylijskiej. I niepodobna mu odmówić słuszności. My ze swej strony powinniśmy go okłaskać za to, iż oceniając robotniczy ruch wychodzący, zajął stanowisko antagonizmów klasowych. Pan A. G. wyraźnie zamierzył cały szereg listów o Łodzi i nieraz jeszcze na tem miejscu wypadnie nam podnieść jego zdania i przytoczyć fakty przezeń zebrane. Tych ostatnich radziłyśmy jaknajwięcej spotkać w jego artykułach. Teraz zaś nie możemy się wstrzymać od przytoczenia jeszcze jednego ustępu z jego pracy, niezmiernie znamiennej: „Proletaryat fabryczny stanowią Niemcy i Polacy, z przewagą liczebną po stronie pierwszych. Łączności pomiędzy dwiema narodowościami, pomimo tak wielkiej wspólności interesów, nie ma żadnej. Omyliłby się jednak, kto by sądził, że w łonie każdej z tych narodowości kwitnie *klasowa solidarność*. Prawie zupełny brak *świadomości klasowej* nie pozwala zejść się na gruncie wspólnych interesów i połączyć się węzłami *solidarności* dla *przeciwdziałania nadużyciom i wyzyskowi*. To też poważniejsze protesty masowe są w Łodzi białymi krukami, mimo wielkiego naprężenia stosunków między fabrykantem i robotnikiem i bardzo często krzyczących nadużyć panów *erów* i *mannów*. Zadośćuczynienie otrzymuje tutaj nie logiczny i sprawiedliwy protest zbiorowy, ale osobista zemsta, w formie napadów i morderstw.“ Nie do tego dodać nie mamy od siebie, raczej chętnie strącilibyśmy z oczu pana A. G. resztkę łuski uprzedzeń plemiennych, które mu każą wierzyć, że tylko *ery* i *manny* zdolni są do „krzyczących nadużyć“ wyzysku.

Z. Atanazy.

## TORTURY W KULPARKOWIE.

Pod Lwowem, w Galicyi, istnieje zakład dla chorych umysłowo, który od pewnego czasu coraz bardziej rozszerza swą... niesławę. Nietylko bowiem jest zaniedbany pod względem leczniczym, ale nadto panuje w nim jeszcze duch owych czasów, kiedy to obłąkani uważani byli za potępieńców, opętanych przez złego ducha i męczeni jak zbrodniarze. Okrucieństwo to wszakże w tym szpitalu nie wynika z przesądnej wiary, ale raczej z niedbalstwa, które dozorem, ludzom prostym, często srogim, pozostawia swobodę w teroryzowaniu chorych. Przed paru laty zmarł w tej katowni hr. Dzieduszycki, któremu służba połamała zęba; obecnie ujawniono męczeństwo porucznika Zakrzewskiego, spokojnego mania (pisującego listy do osób wysoko położonych), formalnie wziętego na tortury. Zanim nasz korespondent przedstawi tę sprawę, przytoczymy kilka szczegółów z *Kurjerem warszawskim*, poczerpniętych z *Dziennika polskiego*, który za nieszczęśliwym się ujął.

„Oddany do zakładu kulparkowskiego, błagał przez 4 miesiące tamtejszych lekarzy, aby stan jego dokładnie zbadali i aby jakąś rzeczywistą przedsięwzięli kurację. Niestety, nadaremnie. Kiedy oburzony tem, powiedział im (dnia 30-go czerwca) gorzką prawdę, skazano go na cztery dni więzienia „w ciemnej i smrodliwej sepi-racie.“

Dnia 4 lipca dyrektor i prymaryusz zakładu, dr. Neisser, naigrawając się z nieszczęśliwego, zapytał go:

— No, cóż, czy się wyspałeś?



Zakrzewski pozostawił uraganie bez odpowiedzi, za co przywiązano go przemocą do łózka, a następnie oddano na t. zw. „szalówkę“ (oddział furiatów).

Nic dziwnego, że po takiej procedurze dnia 5 lipca wypoliczkował Neissera. Awantura miała ten skutek, iż Zakrzewski przeniesiony został do oddziału padaczkowego (?). W chwilę po ułożeniu przybył Neisser, kazał go obnażyć i przytrzymać w pozycji, jak do wymierzenia chłosty i wstrzyknął w okolicę ciała, do tego celu zresztą nieużywaną, jakieś lekarstwo.

Następnie kazał go związać w mokre prześcieradła i koce, wreszcie zaś przyłożył mu na 30 minut synapizm wielkości talerza na plecy i szyję, a po odjęciu przytknął go na chwil kilka do ust, przyczem nie omieszkiał znowu złożyć dowodu swego dowcipu, pytając:

— No, jakże ci smakuje?

Na miejscu przez synapizm spalonem utworzyły się oczywiście rany i dopiero po trzech tygodniach odpadł cały płat skóry. Co w całym opisanym epizodzie najdziwniejsze, to że owa procedura przeprowadzona została nie dla celów leczniczych, lecz za karę.

Na drugi dzień zawinięto Zakrzewskiego znowu w koce, zamknięto do separatu, a potem odesłano na oddział padaczkowy. Naturalnie nie szczędzono mu rozlicznych innych przykrości. Mimo że był ułożony w klasie I, gdzie opłata miesięczna wynosi 90 złr., podawano mu jedzenie tak dalece bez żadnych przyborów, że przy spożywaniu mięsa palcami musiał się posługiwać. Tytuł mu odjęto, a listy, które pisywał do krewnych, nie wychodziły po za obręb zakładu.

Z końcem lipca przeniesiony został z oddziału padaczkowego znowu na „szalówkę“, gdzie też dotąd pozostaje. Nieszczęśliwy pragnął szukać ulgi przynajmniej w pociechach religijnych; i to jednak wzbronione mu było, gdyż księża kapelani: ks. Piotrowski i ks. Panasiński, wcale nie pokazują się w zakładzie, poręczonym ich duchownej pieczy.

Gdy przed kilku dniami odwiedził Zakrzewskiego p. M., brat jego przyrodni, nieszczęśliwy ze łzami w oczach opowiedział mu o wszystkim i tak sprawa wyszła na jaw. Na telegraficzne wezwanie przybył rodzony brat „waryata“, p. Antoni Zakrzewski, właściciel dóbr i podjęto akcję dla oswobodzenia ofiary. Generał-lekarz sztabowy, dr. Hlawacz, wystąpił w obronie Zakrzewskiego imieniem wojskowości i wniósł raport do władzy przełożonej i zażądał, aby Zakrzewskiego oddano do prywatnego zakładu psychiatrycznego dla sprawdzenia, czy on w istocie podlega furii.

Cóż na to wydział krajowy? Wysłał do Kulparkowa komisję, złożoną z pp.: dr. Hoszarda, dr. Stelli-Sawickiego, dr. Wernickiego i dr. Edwarda Sawickiego. Panowie ci przesłuchali dr. Neissera i resztę zarządu, a więc tylko jedną stronę; oczywista, że znaleźli wszystko w „porządku“. Rzecz inna jednak, czy do ich zdania przychylił się także prokurator państwa, który śledztwo już wytoczył.

## KRONIKA.

### Nowa kuchnia tania.

Otwarta niedawno przy ulicy Czerniakowskiej kuchnia tania dla robotników, zaczyna u nich cieszyć się powodzeniem. Liczba stołowników powoli wzrasta. W pierwszym dniu otwarcia miała dochodu 16 rs., w drugim 18, w trzecim 19, ale w następnych dniach za to zmalały one do 12 i 13, potem znowu podskoczyły do 33 i o godzinie 12½ wszystkie zapasy kuchni zostały zakupione i zjedzone. Przyczyna tych wahań prosta. Dnie, w których dochody kuchni zmalały, należały do ostatnich przed wypłatą zarobków, dzień zaś, w którym one poszły w górę, był dniem „fircentagu“ (dwutygodniowej wypłaty). W imię dobra tak kuchni, jak robotników, ktoś zagrzewał fabrykantów, żeby ułatwili wydawanie swoim stołownikom strawy w każdym czasie. Szło o to, żeby robotnik fabryczny lub warsztatowy mógł otrzymywać od pracodawcy na ra-

chunek zarobku bilety do taniej kuchni. Bilety te, czyli marki, fabrykanci dostawali od kuchni, a potem, przy obrachunkach z nią dwutygodniowych, zwracali jej należność, lub jeszcze lepiej, ze względu na szczupłe fundusze młodocianej jadłodajni, marki te zgóry kupowali od niej. Obecnie zaś od samych robotników wyszedł projekt, żeby kuchnia dawała im jado na kredyt. Zarząd propozycję przyjął i natychmiast urzeczywistnił, rozesławszy stosowne odezwy do fabrykantów. „Warszawska fabryka maszyn i narzędzi fabrycznych“ oraz fabryka K. Rudzkiego i Sp. odpowiedziały zażądaniem półtora tysiąca marek, wniósłszy za to należność. Teraz pozostaje innym jeszcze pp. fabrykantom pójść za tym chwalebnym przykładem.

**Sprawy szkolne.** Ministerium zatwierdziło projekt utworzenia specjalnych sal gimnastycznych przy gimnazjach męskich w Królestwie Polskim. Gimnazjum radomskie pierwsze otrzyma taką salę. Kasa państwa wyasygnowała już 19,300 rs. dla wzniesienia na ten cel oddzielnego pawilonu.

— Napływ kandydatów do Instytutu Inżynierów i Technologicznego w Petersburgu był w r. b. większy, niż w zeszłym. Do pierwszego z nich zgłosiło się 580, do drugiego przeszło 600. Ale w instytucie inżynierów było miejsc wolnych 50, a w technologicznym — 100, przeto, rozumie się, wybranych było mniej, niż powołanych. Nawet z kandydatów, którzy ukończyli gimnazjum ze złotymi medalami i mieli ten sam największy szanse przyjęcia, nie dostało tego szczęścia 3 na ogólną liczbę 53.

— Rektor uniwersytetu warszawskiego, p. Ławrowski, objął ma obowiązki kuratora okręgu naukowego w Dorpacie.

— Następcą d-ra Bobrzyńskiego, mianowanego wiceprezesem Rady Szkolnej, na stanowisku profesora wszechniczy Jagielloński będzie dr. Franciszek Plekosiński, historyk i kodyfikator wydziału krajowego.

— Postanowiono, jak zapewniają *St.-Peterb. wiedz.*, ażeby szkoły przy fabrykach i zakładach przemysłowych utrzymywane były wspólnym kosztem kilku, leżących obok siebie fabryk. Szkoły te mają się składać z dwóch oddziałów: ogólnowoświatowego z programem elementarnym i specjalnego, w którym wykładane będą wiadomości techniczne, niezbędne robotnikom.

— Dr. Władysław Pillat, docent ekonomii politycznej w uniwersytecie jagiellońskim, powołany został na to samo stanowisko do wszechniczy lwowskiej.

**Przemysł i handel.** Już od nadchodzącej jesieni rozwieszane mają być po wsiach i osadach na miejscach widocznych podczas jarmarków, na rynkach i zarządach gminnych wiadomości o cenach na produkty zbożowe, o koszcie frachtów, wysokości składek ongiowych itd. Wiadomości te będą otrzymywane codziennie: z Rygi, Rewla, Libawy, Petersburga, Rybłńska, Warszawy, Saratowa, Samary, Sebastopola, Odessy, Londynu, Chicago, Amsterdamu i New-Yorku.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż czasowy komitet, zajmujący się sprawą uregulowania przewozu węgla kamiennego, ma być pozostawiony do 13 stycznia 1892 r. Sprawa ta widocznie wymaga wielkich trudów...

— W *Zbiorze praw* zamieszczono ustawę towarzystwa akcyjnego, mającego zaprowadzić tramwaje w Mińsku litewskim. Kapitał zakładowy towarzystwa wynosi milion rubli, podzielonych 10,000 akcji sturublowych.

— Od 15 września (st. st.) ustaje tranzytowy przewóz towarów ruskich po kolejach zagranicznych przez komory Sosnowice, Granica, Wołoczyska i Radziwiłłów. Tranzyty zaś miejscowych wytworów Besarabii przez Austrię na pograniczne z tą ostatnią komorą będą trwać i dalej.

— Mieszkaniec Sosnowic, p. Paweł Szukelt, stara się o eksploatację rudy żelaznej w miejscowości „Aleksandrów“, zajmującej 10 morgów 227 prętów, we wsi Szarlejka, w pow. częstochowskim, gm. Grabówku. Właściciel wsi Gnaszyn, pow. częstochowski, gm. Grabówek, począł eksploatować rudę żelazną na przestrzeni 11 morgów 295 prętów, w miejscowości „Mikoły“ we wsi Gnaszyn.

— Zjazd rolniczo-wiejski w Wiedniu uchwalił następujące wnioski: utworzenie środkowo-europejskiego związku celnego, międzynarodowe ujednolinitanie taryf kolejowych, uprządkowanie waluty; stworzenie komisji dla rozstrzygnięcia sprawy związku międzynarodowego (?). W skład jej wejdą z wyboru: 7 austrija-

ków, 3 węgry, 5 niemców i przedstawiciele Danii, Francji, Holandii, Rumunii, Szwajcarii i Włoch.

**Życie społeczne.** Przystąpiono już do drukowania blankietów, potrzebnych do zamierzonego spisu jednolitego ludności w całym państwie. Koszty spisu obliczono na 3,200,000 rs.

— W d. 13 z. m. otwarto przy biurach pocztowo-telegraficznych kasy oszczędności w następujących miejscowościach Królestwa: w Aleksandrowie Pogranicznym, Włocławku, Grójcu, Łowiczu, Kaliszu, Mazowiecu, Małkinie, Myszynie, Ostrowie, Ostrołęce, Tykocinie, Płocku, Będzinie, Granicy, Dąbrowie, Zgierzu, Łodzi, Noworadomsku, Pabjanicach, Piotrkowie, Rawie, Sosnowicach, Tomaszowie-Rawskim, Częstochowie, Łomży, Grajewie, Kolnie, Makowie, Nasielsku, Pułtusk, Ciechanowcu, Czyżewie i Szczuczynie.

— Zatwierdzona już osada rolna dla dziewcząt pod zarządem Towarzystwa osad rolnych, ma być wkrótce założoną. Znajdzie się ona o 3 wiorsty od Studzińca i nosić ma nazwę „Puszczy“. Na początek w osadzie tej pomieszcza się 50 dziewcząt. W miarę środków osada zostanie znacznie powiększoną.

**Praca.** Zmowa robotników na kolei panamskiej już ustala. Żądania ich zostały zaspokojone, ale aż dopiero po całym szeregu „bojkotowań“, rwania drutów telegraficznych i szyn kolejowych.

— Projekt rozciągnięcia inspekcji fabrycznej i na warsztaty rzemieślnicze zyskał uznanie u władz wyższych. Polecono w tym celu opracować stosowne przepisy, a ministerium spraw wewnętrznych zaprosi Towarzystwo przemysłu i handlu do udzielenia swoich wniosków w tej mierze.

— W Liverpoolu, 2 września, otwarty został kongres Trade Unionów, na który stawili się 460 delegatów, reprezentujących 1½ miliona stowarzyszonych robotników.

**Zdrowie publiczne.** Kongres międzynarodowy alkoholistów w Chrystianii uchwalił utworzenie międzynarodowej ligi anti-alkoholistów.

— Rada municypalna Nowego-Jorku przesłała nakaz do miejscowej policji, żeby surowo baczyła na wykonanie nowogłoszonego prawa, wzbraniającego małoletnim palenia papierosów. Prawo to weszło w życie od 1 września r. b. i zakazuje chłopcom niżej 16 lat palenia na ulicach i miejscach publicznych. Bardzo roztropne prawo, bo nie idzie dalej, nie czując się na siłach.

**Cholera.** W Mekce wygasła, za to w Japonii wybuchła i szerzy się groźnie. Codziennie umiera 100 osób. W Nangesaku w przeciągu 20 dni zdarzyło się 926 zasląbnień, z których 671 zakończyło się śmiercią. Wszystkie miasta japońskie od Satsumy do Hakodate nawiedziła ta plaga. W Hiszpanii również nie przestaje grasować i wzmagają się nawet. Z Madrytu donoszono pod d. 7 września o 115 zasląbnieniach, zakończonych 60 wypadkami śmierci. Od chwili pojawienia się jej w tym kraju, ogółem było 2,314 wypadków zasląbnienia i 1,167 śmierci. Obecnie panuje ona mniej więcej w prowincjach Badajoz, Alicante, Castillon, Taragonie, Walencji, Kartaginie i Toledo.

**Bibliografia.** M. Rodziewiczówna, *Błękitni*, powieść, str. 372, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. Mańkowski, *Arabia August*, notatki i wrażenia, str. 251, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Dr. J. Polak, *Podręcznik leczniczy*, str. 191, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— E. Bogusławski, *Moja historia Polski i jej krytycy*, str. 34, Kraków.

— N. Sokół, *Zadania inteligencji żydowskiej*, str. 110, Warszawa.

— S. K. Plebański, *Olbrycht Karmanowski wterze różne*, ssr. 60, Warszawa.

— Mlle F. Mendelsohn, *Contribution à l'emploi de l'idéologie en obstétrique*, str. 104, Paryż. Jest to rozprawa doktorska autorki.

**Zmarli.** Chatrian, powieściopisarz, bardziej znany w spółce literackiej: „Eckman i Chatrian“, niż poje- dyńczo. Urodził się w Soldatenthalu w Alzacy, r. 1826.

### ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Pani Ju. Bez.*, Jednemu z czytelników. Tak serdecznie dziękuję za życzliwość, jak wdzięczny za nią jestem. A. S.

*Czytelnikowi C.* Tak.

*Z. B.* Treść tego obrazka nie dla nas.

*Pani Cz. U. w. Kr.* W obrazku Waszym za dużo jest niejasności.



**Najtrwalsze**  
Posadzki z Terrakoty  
(Mettlach),  
Piece, Majoliki,  
Kuchnie angielskie  
Wanny majoliko-  
we i Tafile glazu-  
rowe do ścian.

Maxymilian Harezyk  
Warszawa,  
Krak. Przedm. Nr. 7.

Pince-noz, Okulary, Perspek-  
tywki teatralne, wyłącznie z pier-  
wszorządnych fabryk w najno-  
wszych fasonach, poleca „najta-  
niej” optyk JULJAN DRÉHER,  
Szpitalna Nr. 6, w Warszawie.—  
Wszelkie reperacje przyjmuje.

## Do AMERYKI.



**BILETY JAZDY**  
Holendersko - ame-  
rykańskiego Towa-  
rzystwa żeglugi  
parowej

w Kantorze Ekspedycyjnym  
**MAURycego LUXEMBURGA**,  
Jeneralnego Ajenta Towarzystwa  
w Warszawie, Erywańska 6.

Wszelkie objaśnienia szybko  
i bezpłatnie.



Najkrótsza, najszybsza  
i najtańsza podróż.

## BELLAMY Z WIEKU XXI

Cena k. 50, z przesyłką k. 60,

będzie do nabycia we wszystkich księ-  
garniach. — Skład główny w księgarni  
G. Centnerszvera, Marszałkowska 147.

## „Na Raty“

**Lustra**

sprzedaje miejscowym i na prowincye  
Fabryka zwierciadeł

**MAURycego Silberberga**

8, Rymarska, 8.

Z powodu istniejących firm po-  
dobnych uprasza się o zwrócenie  
uwagi na

**dokładny adres i Nr. 8.**

WYSZEDŁ

**11-ty ZESZYT**

**WIELKIEJ**

**Encyklopedyi Powszechnej**

**ILUSTROWANEJ**

**S. SIKORSKIEGO**

opracowany przez najznakomitsze siły naukowe i literackie,  
zawierający oprócz drzeworytów w tekście, tablicę obrazo-  
wą „Alhambra.”

W ciągu roku wyjdzie 24 zeszytów,  
stanowiących 3 tomy.

**Cena każdego zeszytu w Warszawie 50 k.**

Na przesyłkę pocztową dopłaca się 10 k. od zeszytu.

Prenumeratorzy, opłacający odrazu należność za rok  
cały, czyli za 24 zeszytów (3 tomy), nie ponoszą kosztów  
przesyłki, zapłacą więc tylko rs. 12, zamiast rs. 14 k. 40.

**Redakcyja i administracyja Chmielna Nr. 9.**

Zeszyt 10-ty ze względów technicznych został opó-  
źniony, o wyjściu nieomieszkamy ogłosić.

**Nowa Szkoła Rzemiosł dla Kobiet**

**A. KORYCIŃSKIEJ**

Trembacka Nr. 2, róg Krakowskiego-Przedmieścia.

Rozpoczynają się kursa: Kroju sukien, bielizny, szycie, Stroje, Koronkar-  
stwo, Pończosznictwo, Haft, Rękawicznictwo, Krawaty, Rysunki, Litogra-  
fia, Metalorytnictwo, Heljominiaury, Retuszerya, Malowanie na porce-  
lanie i atlasie, Wypalanie rysunków na drzewie i skórze, Koszykarstwo,  
Introligatorstwo, Szmuklerstwo, Roboty włóczkowe, Tkactwo, Gospodar-  
stwo domowe, Pióra fantazyjne.

Po zupełnem ukończeniu kursów wydają się patenta. — Pensyonarki przyjmują się.

## Wina Stołowe

od kop 35 za butelkę.

**SZAMPAŃSKIE**

**CH<sup>s</sup>. FARRE | GUBONINA**

z Reims

z Krymu

poleca reprezentant

**Leon Kirsztot-Prawnicki,**

Erywańska Nr. 5, w Warszawie.

## Wydawnictwa „Prawdy.”

J. Brandes. Główne prądy literatury XIX w., tomów  
cztery, tłum. K. Lewald — rs. 6.

**Ekonomia polityczna** według najznakomitszych ba-  
daczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. Logika, tłum. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. Społeczeństwa zwierzęce, wraz z doda-  
tkiem ogólnych dziejów socjologii — rs. 3.

*Uwaga.* Wszystkie powyższe dzieła abonenci  
*Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny. Na ko-  
szta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop.  
15 do każdego rubla.

E. Taylor. Zmyślność i moralność roślin (w opra-  
wie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne, czyli bada-  
nie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez  
barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Ba-  
kowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. Męczennicy myśli (w o-  
prawie) — rs. 1.

W. Ochoński. Dramaty (Antea, Na targu, Helvia, Pod-  
danka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— O życie, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug.  
Damian Capenko — k. 50.

— Klemens Boruta, powieść — k. 40.

— Niewinni, dramat w 3 aktach — k. 80, z prze-  
syłką rs. 1.

Dr. Azam. Charakter w zdrowiu i w chorobie — rs. 1.

N. Hirsztband. Byron w urwkach — rs. 1 kop. 20  
z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. Poradnik lekarski wraz z apteką  
domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. Historia XIX w. od r. 1800—1888 — rs. 3  
k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

E. B. Tylor. Antropologia z ilustracyami, w przekła-  
dzie A. Bakowskiej — rs. 2, z przesyłką poczto-  
wą rs. 2 kop. 25.

## Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej  
XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Fran-  
cyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX,  
studjum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma  
portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz L. System socjologii — rs. 3 k. 30, z prze-  
syłką rs. 3 k. 60.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice lo-  
brakli, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5,  
w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi,  
str. 93 — k. 60.

Smoleński Władysław. Drobną szlachtą w Kró-  
lestwie Polskiem, studjum etnograficzno-społeczne,  
str. 66 — k. 60.

A. Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zje-  
dnoczonych A. P. — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

Biuro i ekspedycyja Spółki Nakładowej:  
Warszawa, Marszałkowska, nr. 95.